AS



Nr. 48

28 LISTOPADA 1937

CENA 40 GROSZY

WACHLARZ HISZPAŃSKI

CZŁOWIEK, KTÓRY WALCZYŁ Z ZABOBONEM.

Doktór Jan Weyer urodził się w r. 1515 w Niemczech. Był on uczniem sławnego satanisty średniowiecznego Agrippy z Nettesheimu, który zwiedził całą prawie Europę w poszukiwaniu złych duchów i... guzów, o które nietrudno było w tym czasie, zwłaszcza, gdy się wygłaszało teorje o sposobie przeciwdziałania czarom, oraz twierdząc na lewo i prawo, że czarownic niema, i że kobiety, które posłano na stos, były ofiarami ciemnoty i pomyłek prawa.

Nauczyciel Weyera — Agrippa, chroniony autorytetem swych możnych przyjaciół i protektorów, narażał się często, jednak zawsze udawało mu się uniknąć tortur i stosu. Umarł on śmiercią naturalną.

Jan Weyer po pełnej przygód młodości, wieku dojrzałym, poświęconym walce i częstem zwycięstwom, stracił na starość przyjaciół, stał się ofiarą tępej głupoty i ciemnoty swych współczesnych, których starał się oświecić. Gusła i zabobony złamały człowieka, który przerósł swój wiek. Wiek, który nazywał wyrozumowane naukowo i tak określane przyczyny chorób — magją.

* * *

Był zimny, wiosenny poranek. Śnieg prószył wielkiemi płatami, które siadały na parapecie okna i w podmuchach chłodnego wiatru wirowały lekko, kręcąc się wkoło, przesłaniając dzień.

Oparty o framugę okienną, wpatrzony błękitnemi źrenicami w zapyloną białą dal — stał w swej przestronnej pracowni dr Jan Weyer. Myślał.

Zaledwie wczoraj wzywano go do opętanej przez djabła. Mówiono: „Panie, przychodź! Siostra moja jest stracona! Djabeł znowu ją posiadł". Doktór udał się za przewodnikiem. Zastał chorą wijącą się w boleściach na łóżku. Przewracała oczami, zaciskała pięści — gryząc konwulsyjnie szmatę, której część już nieomal połknęła. Matka chorej, stara wiedźma, stała obok, szepcząc, że tylko błogosławieństwo może ją przywrócić światu żywych.

Nachylił się doktór nad dziewczyną. Wyrwał jej szmatę z ust i obejrzał wilgotne płótno. Zapytał: „Kiedyż to wasza córka jadła po raz ostatni?". — Odpowiedziano: „Przed godziną".

Doktór spojrzał groźnie na obecnych. Zapadło milczenie. Spojrzenia skryły się. — Usłyszano ironiczne oświadczenie Weyera: „Kiedy djabeł powróci do waszej córki — zawołajcie mnie znowu...".

Znowu?... Ileż jeszcze razy zawezwą go? Przecież wkoło rozlegały się krzyki o pomoc odżegnywania się od czarów i złych duchów, jęki traconych. Cóż poradzi on jeden, Weyer — przeciw lawinie ciemnoty i oszustw, przyjmowanych z taką wiarą i łatwością.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Weyer drgnął, odwrócił się ku drzwiom. Z ciemnej czeluści wyjrzała twarz miejscowego sędziego śledczego. W oczach Weyera zarysowało się oczekiwanie.

— Doktorze — cóż pan na to? Dziewczyna, która rzuciła czary na bydło sąsiadów — wydała 16 wspólniczek. Doprawdy, Bóg opiekuje się nami. Może nareszcie przepędzimy szatana, zmiażdżymy go, spalimy...

— Szesnaście innych dziewcząt? Szesnaście czarownic? — zdziwił się doktór.

— Tak. No i jak pan myśli, co się z niemi stanie?

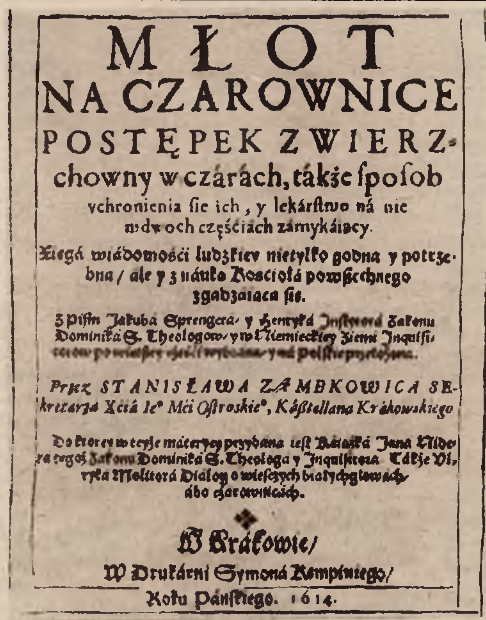
— Doprawdy — nie wiem, sędzio.

— Spalimy je.. Książę podpisze werdykt.

W godzinę potem na dworze książęcym mówił Weyer:

— Te „czarownice" nie są bynajmniej ofiarami djabła, a raczej prawodawstwa, któremu zostały poddane... Czy w. ks. mość wie, że ten łajdak, sędzia interesował się kiedyś jedną z tych dziewcząt, i że nie został przyjęty przez nią.

Ostatecznie sprawa 16 dziewcząt, które miały spłonąć na stosie — została dla


MŁOT
NA CZAROWNICE
POSTĘPEK ZWIERZchowny w czárách, tákże sposob
vchronienia sie ich, y lekárstwo ná nie
w dwoch częściach zámykáiący.

Xięgá wiádomości ludzkiey nietylko godna y potrzebna, ale y z náuką Kośćioła powszechnego zgadzáiąca się.

Z Pism Jakuba Sprengera, y Henryka Instytora Zakonu Dominiká S. Theologow, y w Niemieckiey Ziemi Inquisitorow

Przez STANISŁAWA ZAMBKOWICA Sekretarza Xcia Je° Mći Ostroskie°, Kásztellana Krákowskiego.

Do ktorey w teyże máteryey przydana iest Rózmowá Jana Nidera tegoż Zakonu Dominiká S. Theologa y Inquisitora. Tákże Vlryka Molitora Dialog o wieszczych białychgłowach ábo czárownicách.

W Krákowie,
W Drukárni Symoná Kempiniego,
Roku Pańskiego. 1614.

Strona tytułowa sławnego dzieła „Młot na czarownice"

Weyera pomyślnie załatwiona. Dziewczęta uwolniono dla braku dowodów — „jakoby miały z djabłem stosunki". Stało się to może i dlatego, że w kraju wybuchła nowa i nieznana dotąd epidemja, która zaalarmowała opinję.

Objawy tej choroby były następujące: plecy i lędźwie obejmował ból. Chorzy opowiadali, że robaki pełzają im poprzez mięśnie. Wydawało się, że choroba była zaraźliwa, a Weyer twierdził uporczywie, że chorzy nabawiali się podczas jedzenia i picia.

W tym czasie ustawicznych chorób, nękających ludzkość, każdej nadziei ocalenia chwytano się skwapliwie. Tem można wytłómaczyć szybką sławę pewnego, dobrze urodzonego szlachcica, oddającego się z zamiłowaniem gusłom, czarom i alchemji, który „wynalazł środek" przeciwko wściekliźnie. Odkrycie, które miało przypaść w udziale w kilkaset lat potem Pasteurowi, spowodowało, że zewsząd ciągnęły do siedziby magika — pielgrzymki.

— Panie ratuj! Wściekły pies pogryzł mnie — mawiali ludzie.

„Chory" otrzymywał cząstkę jabłka, na którym wypisane było zaklęcie: HAX PAX DEUS ADIMAX. Kosztowało to brabandzkiego szeląga i skutek odnosiło, o ile ktoś był zdrowy. „Sztuka" owego szlachcica była tak wielka, iż podobno najstarszy syn miał ją po ojcu odziedziczyć.

Któregoś jednak dnia rozeszła się wieść, że lekarz wścieklizny dostał pomieszania zmysłów.

Proboszcz i jakiś zakonnik — napróżno usiłowali wypędzić z niego złego ducha. — Nic nie pomagało. Zwrócono się do Weyera, który stanął przed chorobą równie bezradny. Rozpoznał u pacjenta.. wściekliznę, której przecież nie można leczyć jabłkiem. Weyer postawił djagnozę szybką i jasną:

— On jest chory na wściekliznę!

Ale fakt ten nie mógł pomieścić się w mózgownicach obecnych. To byłoby zbyt proste, a równocześnie zbyt skomplikowane. Jakto? Cudotwórca, człowiek, który „uleczył" tysiące chorych na wściekliznę, miałby sam zapaść na tę chorobę? Niemożliwe!

Wkrótce też znaleziono rozwiązanie tajemniczej zagadki. Lekarz został poddany złym urokom jakiejś dziewczyny. Pojmano podejrzaną. Poddano ją torturom.

Weyer przejrzał protokół i zarzucił mu nieścisłości. Jednocześnie dowiedział się od sędziego, że ten nie spotkał się nigdy z takim uporem u „oskarżonego", jak w ostatnim wypadku, jeżeli chodzi o przyznanie się do winy.

W jakiś czas odbyła się „próba wodna" — zwana „Sądem Bożym", na który doktór Weyer został również — jako rzeczoznawca — zaproszony.

Biednemu, zmaltretowanemu dziewczęciu związano razem duże palce rąk i nóg i wrzucono do dołu, wypełnionego wodą. — Dziewczyna poszła na dno. Stało się to prawdopodobnie za sprawą Weyera, który baczył pilnie, by oprawca nie naprężał zbytnio liny, do której przywiązana była ofiara i, by nie utrzymywał jej tym sposobem na powierzchni, co dowodziłoby, że oskarżona jest czarownicą, bo w tej pozycji potrafi się utrzymać na wodzie.

Oskarżonej jednak groziła śmierć w każdym wypadku. Formuła bowiem „Sądu Bożego" mówiła: „Jeżeli jest winna — utrzyma się na wodzie. Jeżeli zaś jest niewinną, utonie.

Tym razem wydobyto jednak dziewczynę z dołu, a Weyer odważył się oświadczyć:

— Taka wodna próba jest poprostu śmiechu warta. O ile bowiem kobieta rzeczywiście czasem pływa — czyni to z pomocą djabła, który ją w górze utrzymuje i przez to zniszczyć chce, albo ma szczególnie delikatne ciało, jak przeważnie kobiety... Zresztą mówił już o tem Hipokrates.

I o dziwo! Sędzia dał się przekonać, przyczem razem z Weyerem podpisał prośbę o ułaskawienie.

Cała sprawa trwała trzy miesiące — lecz wreszcie wypuszczono skazaną na wolność. Doktór Weyer opiekował się nią, wyleczył z ran i chorób, których nabyła na torturach i w więzieniu.

Zdaje się, że także w tym czasie między setkami pacjentów dr. Weyera znalazł się pewien ksiądz, który żalił się, że prześladuje go po nocach zmora w postaci kobiety, którą znał. Ksiądz obawiał się, że padł ofiarą pewnego zakonnika, który posłużył się przeciw niemu czarami jakiejś wiedźmy.

Weyer nie omieszkał powiedzieć zgorszonemu księdzu, że daremnie powołując się na biblję — karze się czarownice i czarowników, gdyż tak zwana czarna magja jest oszustwem, a „czarownice" chwalą się tylko, że mają stosunki z djabłem. Na zakończenie owego dłuższego wywodu, popartego wieloma przykładami, postawił djagnozę:

— Wasz stan, księże, pochodzi stąd, że opary flegmy i czarnej żółci waszej — zmysły wam zamraczają. Takie rzeczy przytrafiają się często, gdy żołądek człowieka jest zbytnio przepełniony.

Ksiądz nie bardzo uwierzył — jednak gdy po paru wizytach i kuracji stan jego się poprawił — rozchmurzył się i zapewne przez jakiś czas uśmiechał się, gdy mu mówiono o czarach.

Tenże ksiądz sprowadził pani Judycie, żonie dr. Weyera dziewczynkę, którą nawiedzały złe duchy. Podczas rozmowy zabobonna matka dziewczynki pokazała Weyerowi torebkę, zawieszoną na szyi dziecka, która miała strzec przed złemi duchami i ich powrotem. Jakiś zakonnik zawiesił dziewczynce na szyi ten amulet.

Pani Judyta, nie wierząca w czary, ośmieliła się zdjąć tajemniczą torebkę. Matka „nawiedzonego" dziecka omal nie zemdlała na ten widok i ze zgrozą oczekiwała nieszczęścia. Złe duchy jednak nie kwapiły się z wizytą. Dziecko pozostało zdrowe, a pani Judyta znalazła w woreczku.. białą niezapisaną ćwiartkę zwykłego papieru.

* * *

Dokończenie na str. 10.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 48 **Niedziela, 28 listopada 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 48-GO



Fot. Keystone — Berlin

Niezwykłego uroku i tajemniczości nabierają ulice starożytnych miast z chwilą, gdy spadnie pierwszy śnieg, tworzący ciekawe światłocienie i uwypuklający zarówno rzeźby, jak też nierówności starych murów. Na naszem zdjęciu widzimy fragment Fryburga w Bryzgawji z bramą św. Marcina i pięknym wodotryskiem Bertolda w wieczornem oświetleniu.

Symfonja dzwonów KRAKOWA





Stanisław Wyspiański: Autoportret.

U stóp Wawelu miał ojciec pracownię"... a jego syn, Stanisław Wyspiański, zaszedłszy do pracowni rzeźbiarza, rozczytywał się tu w najpiękniejszej książce dzieciństwa, w „Iljadzie" Homera, a oderwawszy oczy od kart książki, poprzez okno Długoszowego domu spoglądał na majestat królewskiego zamku na Wawelu. W młodzieńczych rojeniach, pełnych już fantazji i poetyckich wizyj, kojarzyły się mury Troi z murami Wawelu, bohaterzy greccy z polskimi... Dla dziecka już wówczas Wawel był polskim Akropolem, a płynący u jego stóp Skamander wiślaną srebrzył się falą.

Motyw Wawelu przewijał się przez całą twórczość Wyspiańskiego. Już w pierwszym przez siebie wydanym dramacie (w r. 1897) „Legendzie", dającej piękną poetycką wizję historji Kraka i Wandy, zapowiedział poeta, że „skoro minie wiele — wypłaczą się łzy, czar górą będzie władać całą — i śpiewać w wichrach ponad skałą — pieśń żywą, pieśń wspaniałą"... Narodowym nocom, nabrzmiałym bólem i łzami poświęcił Wyspiański wielkie dzieła, uwieńczone wspaniałą pieśnią żywą, pieśnią zmartwychwstania — dramatem „Akropolis".

Dramat ten, będący hymnem religijnym na cześć Chrystusowego zmartwychwstania, a równocześnie narodowym hymnem i wizją zmartwychwstającej Polski, uznany został przez krytyków za jeden z najwybitniejszych. Stwierdzono, że „zasadniczy pomysł tego dzieła jest najbardziej syntetyczny w całym dorobku twórczym poety", że jest jego „najwyższym wysiłkiem artystycznym", dowodem „renesansowej pełni ducha Wyspiańskiego". W utworze tym, będącym najpiękniejszą pieśnią Wawelu, odrodziły się marzenia młodzieńcze. Czar górą zaczął władać całą... Hektor z blanków wawelskich schodzi na bój, Priam i Hekuba słuchają muzyki dzwonów Krakowa, Ezaw Jakóbowi za chleb i soczewicę sprzedaje pierworodztwo, ożywiają się posągi w Katedrze, wali się w gruzy świątynia — symbol rozkochania się narodu w grobach przeszłości, na zdruzgotany głaz kastelu Bóg — Apollo-Salwator wpisuje nowe prawa.

A trąby huczą jako działa,
jak ongi na tych polach;
jakby już Polska wszystka wstała,
hej, w dawnych swoich dolach.
Jakby już szczęście swoje miała
po wiekach, hej, po latach
i klęsk i krzywdy zapomniała
przy dzwonach, swoich swatach.

Muzyce dzwonów Krakowa poświęcił Wyspiański właśnie w dramacie „Akropolis" kilka strof, będących najcenniejszemi klejnotami polskiej liryki.

Kończąc pieśń Wawelu i zmartwychwstania Polski, zwrócił się Wyspiański do przyjaciela swego Adama Chmiela z prośbą listowną: „Wykańczam „Akropolis"... Koniecznie mi potrzebna „kolejka muzyczna zegarów". Jak biją kolejno godziny — może Pan Dobrodziej znajdzie czasu chwilę, by pójść na Wawel, stanąć nad miastem i posłuchać, które biją pierwsze, tak i następne... Może Pan wstąpi z tem dziś wieczorem". Kolejkę muzyczną zegarów przyjaciel poety przyniósł mu tego samego dnia wieczorem (a było to 4 lutego 1904 r.) i, według zanotowanej przez Adama Chmiela kolejności bicia, wyśpiewał Wyspiański symfonję muzyczną dzwonów i zegarów Krakową, w których od dziecka był rozkochany.

(Biją zegary wież z różnych epok)
(na dalekich kościołach Krakowa:)

(I. Od strony Wisły:)

Dzwoń, dzwoneczku, dzwoń
srebrem w srebrny głos!
Niesiesz się nad toń,
nad wiślany wrzos.
Graj dzwoneczku, graj!
Fijołeczku woń!
Niesiesz się nad toń,
we wiślany maj.

Toń, dzwoneczku, toń
we wiślaną toń;
fijołeczku woń!
Idzie maj nad błoń.

(II. Z wieży zegarowej; Kowale:)

Czas, już czas:
Młotem bijem cztery razy
metalowy dzban.
Bierz za trzon,
młotem, ogniem bij w zarzewie.
Wołaj imię, wal!

(Z wieży zygmuntowskiej: dzwon mniejszy)
Zbigniewie!

(Z wieży zegarowej; Kowale:)

Wali młot
Hej, na lot,
bieżaj głosie huraganie!
Rota wstanie,
zatętnią kopyta,
aż się ozwie tętno w gruncie.
Wołaj miano, wal!

(Z wieży zygmuntowskiej: dzwon wielki:)
Zygmuncie!

Po tej muzyce dzwonów wawelskich, poprzedzonej srebrną melodją dzwoneczka klasztoru Felicjanek na Smoleńsku, rozbrzmiewa z wyższej wieży marjackiej pieśń do Najświętszej Panny Marji, będąca hymnem o Jej bólu, gdy w serce Jej ugodziły włócznie... Hymn ten przybiera tony triumfalne, muzyka dzwonów przechodzi w hejnał.

Hej, aż po skłon,
nad kwietną ruń, na pole
skrzydlaty leć sokole,
skrzydła zatocz w półkole
nad śpiące bramy polatuj!

Hej, ponad las,
na pole, błonie, na błoń,
na kwietną, kwiecistą darń,
ptaku przemocny, fruń
na strojną ruń
i wołaj zagrodnikowi
i wołaj zagrodnice:
niech sierpy ostrzą na świt!
Pani cała w promieniach
nastąpiła na rogi-księżyce.



U góry: Stanisław Wyspiański: Motyw Wawelu.



Na lewo: Dekoracja B. Kudewicza do „Akropolis".

Ostatni odzywa się dzwon klasztoru Bernardynów, głoszący wiarę, że „zejdą noce, przejdą noce... Ogród pełen świergotania we świtaniu żyje...".

Pieśń-wezwanie dzwonów Krakowa:

W Sandomierzu posłyszeli,
usłyszą w Warszawie;
hej, z wichrami pobieżeli
w porannej wyprawie.

Niejednokrotnie podkreślano, że twórczość dramatyczna Wyspiańskiego wywodzi się z ducha muzyki. Słusznie opierano się także i na tem, że pierwsze próby dramatyczne malarza były librettami operowemi, do których muzykę miał pisać przyjaciel autora, Henryk Opieński. W jednym z listów do niego pisał Wyspiański, że pragnie stworzyć nowy rodzaj opery. „Ja chcę stworzyć to, czego niema i czego spodziewać się po nikim nie mam żadnych danych"...

Nie stał się jednak Wyspiański reformatorem opery, ale stał się rewolucyjnym twórcą nowego polskiego teatru i misteryjnego dramatu. Jego utwory dramatyczne wiąże z sobą także liryczna jedność, podłoże muzyczne, które mają swoją własną logikę, stanowiącą tajemnicę oryginalnego piękna. Żywioł muzyczności znajduje w twórczości Wyspiańskiego swój wspaniały, niezaprzeczenie czarujący wyraz w dźwiękach słów i w melodji ich zestawień. Dlatego strofy poematu, odtwarzającego symfonję dzwonów i zegarów Krakowa, wywierają głębokie wrażenie prawdziwej muzyki. Dla Wyspiańskiego słowo było najczulszym instrumentem muzycznym. — Pod dźwięki i melodje jego wierszy nie trzeba już podkładać ilustracji muzycznej.

Wymownym tego dowodem było krakowskie przedstawienie dramatu „Akropolis", przygotowane w teatrze im. J. Słowackiego za dyrekcji Z. Nowakowskiego przez Józefa Sosnowskiego (w r. 1926). Piękne i potężne wrażenie wywołała wówczas właśnie nastrojowa deklamacja symfonji dzwonów Krakowa przez ukrytych za kulisami aktorów. Gdy Priam i Hekuba ucichli, by wysłuchać uderzeń zegarów i dzwonów, gdy grała tylko kolorami panorama wieżyc Krakowa (dekoracja B. Kudewicza), gdy rozległy się nasrojowe i tak różne w dźwięku i w barwie strofy wiersza Wyspiańskiego — słuchało się ich jak bogatego w treść i formę koncertu muzycznego.

* * *

Muzyka dzwonów Krakowa jest nie tylko hołdem, złożonym przez poetę pięknu rodzinnego miasta, nie tylko wspaniałym poematem lirycznym, czy pieśnią religijną. Jest przedewszystkiem hymnem narodowym, zrodzonym z przekonania, że dzwony nad Krakowem wzywają cały naród, by był gotów na czyn, że musi powstać — i to tu, w Krakowie, — zbrojna rota, która porwie za sobą Sandomierz i Warszawę, całe społeczeństwo polskie, a jego wspólny wysiłek sprawi, że państwo zbudzi się do nowego życia.

Słowa Wyspiańskiego, zresztą nie te jedynie, jakże się stały proroczemi. Bo to jest właśnie przywilejem genjuszów, że widzą przyszłość, że potrafią na nią swych wyznawców przygotować, że równocześnie stają się nieśmiertelnymi, gdyż wizje ich i wskazania są zawsze aktualne.

Dzwony, płynące znad Krakowa na całą Polskę i dziś wzywają, że najwyższy czas, by naród podniósł się, by ostrzył sierpy na świt — symbol nowej epoki Polski.

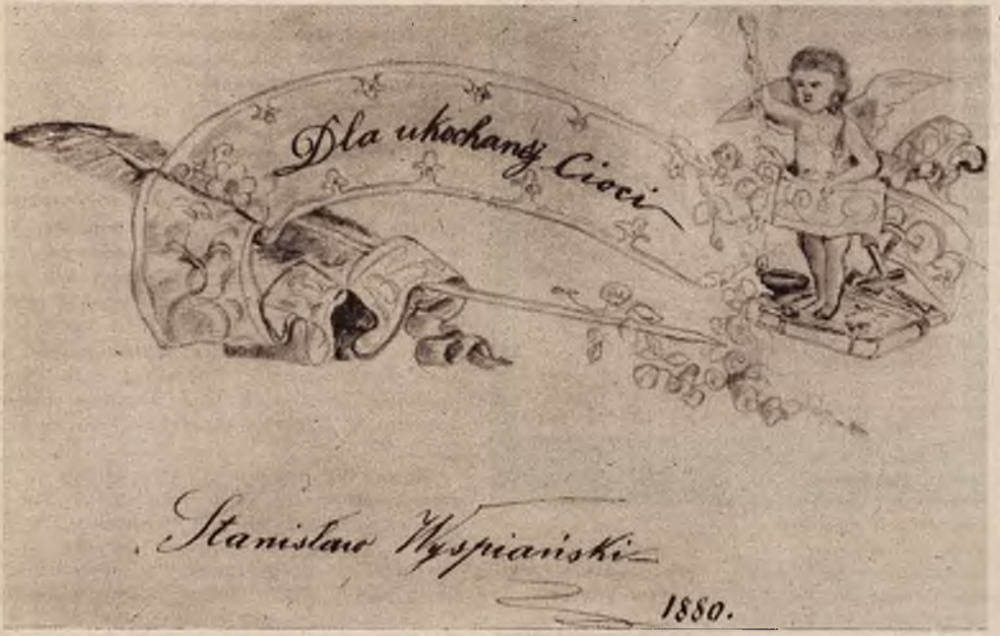
(s. w. bal.)





Na prawo: Stanisław Wyspiański: Widok na wieże katedry wawelskiej i Wisłę.

Wyspiański na ławie szkolnej



Winieta powinszowania kompozycji 11-letniego Wyspiańskiego, dla ciotki jego p. Stankiewiczowej.

W gimnazjum miał przezwisko „ciocia", a wynikało to z tego, że powoływał się często na najwyższy autorytet, jaki wówczas dla niego istniał, na najtkliwszą i najlepszą swą opiekunkę, ciotkę panią Stankiewiczową.

Żaden z kolegów szkolnych Wyspiańskiego nie przypuszczał, że owa „ciocia", o dziewiczem, różanem obliczu, okolonem złocistym włosem, kryje w sobie genjusz, który później zadziwiać miał wszystkich! Bo nie był na pozór ani dzieckim cudownem, ani uczniem nadzwyczajnym, ot zwyczajnie tak jak inni chłopcy w jego wieku, figlował broił, psując niejednokrotnie krew wspólnie z towarzyszami czcigodnym profesorom ówczesnego gimnazjum św. Anny.

Na wrażliwy jego umysł padały niczem na orny grunt, wiadomości z historji starożytnej, a gibkość jego umysłu pozwalała mu nie tylko je sobie w lot przyswajać, ale przejęty był nimi tak dalece, że on to był inicjatorem owych słynnych zabaw, zwanych walką plebejuszów z patrycjuszami, w której na dwie partje podzieleni trzecioklasiści, staczali w czasie pauz zacięte boje o... katedrę. Na niej stał Wyspiański w szerokim, jakby togą, udrapowanym płaszczu, ze zwycięsko wysuniętą nogą, z iskrzącemi oczyma i włosem rozwianym, wydając niczem z Kapitolu rozkazy, rozdając dzielnie i odbijając... kułaki Obserwujący raz tę scenę profesor Gustawicz, który „bojowymi okrzykami" zwabiony, wszedł na pauzie do klasy, nie znalazł innego określenia, skierowanego do Wyspiańskiego, jak. „Ty, bohaterze!".

W czasie lekcyj mniej zajmujących, „ciocia" bujała myślami w obłokach, po to, by znienacka „wyrwany" przez nauczyciela, rozpaczliwie trącać pod ławką swego sąsiada Mehoffera lub Turnaua, czemu towarzyszył gorączkowy szept: „Gadajże, gadajże". Odznaczał się niezwykłą sztuką zginania kolan tak nisko, że koledzy wprost do ucha mogli mu podpowiadać, a także umiał sprawnie przeginać się w ławce w tył, jeżeli zachodziła potrzeba „zasięgnięcia języka" u siedzących za nim kolegów.

Budził wśród współuczniów podziw zdolnościami aktorskiemi. Podczas czytania dramatów w klasach wyższych, „ciocia", której w udziale przypadały przeważnie kobiece role, potrafił tak sprawnie i kunsztownie zmieniać głos i go modulować, że klasa z zapartym tchem przysłuchiwała się jego deklamacji. Lekcje nudne, mało zajmujące skracał sobie Wyspiański rysowaniem na świstkach papieru lub w bruljonach kolegów. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wyrastał to rycerz w zbroi, to król w powłóczystym płaszczu lub też w matematycznym bruljonie kolegi Turnaua, z wdziękiem tańcząca Tyrolka. Mimo to, ani on sam, ani też jego koledzy nie przeczuwali w tym, czasem zadumanym, ale naogół wesołym chłopcu, przyszłego genjuszu Ów „genjusz" stał się w klasie VII wprawdzie nie głównym sprawcą, ale czynnym uczestnikiem, jak się później okazało, słynnej na cały Kraków „kociej awantury". Według jednej wersji, Wyspiański przyniósł sześć małych kociąt na lekcję profesora Rypla, które wypuszczał pokolei, w miarę, jak profesor wyrzucał je, zirytowany obecnością intruzów w klasie, Według innej, kotów tych miało być aż dwanaście, a uczestniczyły one na lekcji religji, niepokojąc księdza katechetę, wyłażąc z szuflady na katedrę, lub chodząc krok w krok za nauczycielem języków klasycznych i czepiając się jego białych w czarną kratkę spodni, lub też umieszczone w koszu nad drzwiami, obrzucały gradem papierków starannie „na glanc" wygładzony cylinder nauczyciela historji.

Po sielskich, anielskich latach szkolnych, nastąpiły górne i chmurne lata młodzieńcze. Coraz to częściej zaduma pokrywała mgłą dziwnie niebieskie oczy „bladego pana", a twórczość jego zatacza coraz szersze kręgi w raz po raz drukowanych utworach. Ileż walk stoczyć musiał młody poeta z profesorem Ulanowskim, który wtedy żelazną ręką ujął ster drukarni uniwersyteckiej. Oryginalne, rzec można rewolucyjne pomysły, tyczące się tak ornamentu, jak i papieru, na którym miano drukować, nie trafiały do przekonania jednego z najwybitniejszych prawników, jakim był wspomniany profesor Ci dwaj wybitni a uparci ludzie staczali istne homeryckie boje, w których nie szczędzono sobie nawzajem słów cierpkich i przykrych, nie obchodziło się też bez rozmaitych „osobistych wycieczek". Pośrodku tych dwóch zajadle walczących stron, stał p. Filipowski, zarządca drukarni uniwersyteckiej, który będąc życzliwym tak jednej, jak i drugiej stronie, używał wszelkich dyplomatycznych sposobów, by zapobiec zaognieniu się stosunków. Gdy raz pod nieobecność Wyspiańskiego, profesor zauważył, że składanie jednej z tragedyj odbywa się według nie zatwierdzonego przez niego projektu autora, uniósł się gniewem, polecając w swem imieniu powiedzieć Wyspiańskiemu, że nie ma pojęcia o drukarstwie i że drukować jego utworów nie będzie — Wtedy p. Filipowski wszedł na drogę dyplomacji, powtarzając jednej i drugiej stronie wymyślone przez siebie a rzekomo przez nich wypowiedziane pochlebne opinje. Oświadczył więc Wyspiańskiemu, że profesor jest jego utworami zachwycony, na co Wyspiański odpowiedział: „Powiedz mu pan, że ani o drukarstwie, ani o sztuce nie ma pojęcia". Zamiast tego, usłyszał profesor od p. Filipowskiego wiadomość, jakoby Wyspiański nie taił swego zachwytu nad wiadomościami typograficznemi profesora i że z niezwykłą serdecznością wyrażał się o jego życzliwości dla siebie. W ten sposób udawało się przez dwa lata uniknąć decydującego starcia, które jednakże nastąpiło przy najbliższej okazji. Gdy miano drukować Wyspiańskiego hymn „Veni Creator", będący orędziem do narodu, by składać ofiary na polską organizację wojskową, spór o format papieru i druk przybrał takie rozmiary, że Wyspiański, przeniósłszy się do drukarni Anczyca, więcej już do drukarni uniwersyteckiej nie wrócił. P. Filipowski jeszcze ostatni raz usiłował przekonać profesora do Wyspiańskiego, zagadnąwszy go „Widziałem Wyspiańskiego — jechał fiakrem". — „A skądże on ma pieniądze? — zapytał profesor. „Widocznie zarabia" . „Zarabia? Hm, szkoda go. Ja panu zawsze mówiłem, że to jest zdolny człowiek".

Gdy Wyspiański został zamianowany docentem Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, przysłano mu dekret, w którym „Jego Cesarska Mość Franciszek Józef I raczył go zamianować". Wtedy odesłał go Wyspiański z tem, że nie przyjmie nominacji od cesarza austrjackiego na stanowisko w polskiej szkole. Musiano dopiero używać podstępu, by obejść urzędową formę i umożliwić objęcie stanowiska artyście.

Niejedną jeszcze ciężką walkę przeszedł Wyspiański w swem życiu, aż wreszcie równo 30 lat temu, bo w dniu 28 listopada 1907 uleciał ze strudzonego ciała jego potężny król-duch.

Mgr Anna Nichthauser.



Lekcja matematyki prof. Kranza — rysunek piórem Stanisława Wyspiańskiego z roku 1884, przedstawiający kolegów jego Gina, Trzmiela i Turnaua.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



U góry: Znaczek francuski — poniżej: w trzech rzędach znaczki niemieckie, wydane na cele pomocy zimowej.

W Warszawie odbył się ostatnio zjazd przedstawicieli polskich towarzystw filatelistycznych. Wywiad z dyr. Tislowitzem, prezesem „Krakowskiego Tow. Filat." o bardzo doniosłych rezultatach tego zjazdu zamieścimy w następnym numerze „Asa".

Doroczna niemiecka serja na „Pomoc Zimową" (Winterhilfswerk) ujrzała wreszcie nietyle światło dzienne, co albumy zbieraczy, bo nabywana w wielu tysiącach seryj, rzadko kiedy służy do opłacania listów. Pod tym względem jednak trzeba wyrazić uznanie, że nakład jest nieograniczony, a ceny naogół niskie (2 RM), tak, że przeciętny filatelista niemiecki może łatwo nabyć cały komplet, nalepiając te znaczki na listy zamiast zwykłych. Jak się to dzieje, że w Polsce można już nabyć wszystkie 9 sztuk za trzy złote, czyli po kursie 1,5 za 1 RM, rozumieją dobrze ci, którzy wiedzą, że faktyczna wartość marki niemieckiej jest bardzo daleką od oficjalnego kursu. Stosowane przez Austrję sprzedawanie znaczków dobroczynnych tylko serjami, utrudnia w wielkiej mierze kupowanie znaczków przez ludzi niezamożnych — niezawsze ktoś ma kilka złotych na zaspokojenie swej namiętności, a rozdrabniając tę kwotę nie odczuwa się tak bardzo ubytku w kieszeni.

Przedstawiony w br. „temat": okręty, był bardzo wdzięczny i p. von Axter wywiązał się ze swego zadania zupełnie dobrze. Zdaje się, że nie wolno mu było przedstawić żadnych okrętów wojennych i dlatego też wpadł częściowo w szablon. Objawia się to zwłaszcza przy wartościach za 6, 12, 15 i 25 f., inne natomiast są niezwykle oryginalne pod względem rysunku. Wykonanie stalorytem daje się „odczuć" przy pierwszem dotknięciu palca, do tego stopnia farba jest nałożona wypukło. Barwy: 3 f. — brązowa, 4 f. — czarna, 5 f. — j. zielona, 6 f. — c. zielona, 8 f. — pomarańczowa, 12 f. — karminowa, 15 f. — brązowa, 25 f. — niebieska, 40 f. — fjoletowa. Suma dopłat dobroczynnych uwidocznionych wyraźnie wynosi 82 fen. Prawdopodobnie tak, jak i w ub. roku przez jeden oznaczony dzień poczta niemiecka przyjmować będzie przesyłki opłacane wyłącznie temi znaczkami.

Poczta francuska ostatnio przedrukowała znaczek wartości 1 fr. na 80 c. (Przedruku dokonano w kolorze czerwonym).

W. H.



woalka
bardziej przejrzysta

byłaby odpowiedniejsza. Moglibyśmy wówczas uradować nasze oczy widokiem Pani cudownej cery. Taką cerę zawdzięcza Pani stałemu używaniu Pudru Antiba.

PUDER ANTIBA



Tylko w znanych oryginalnych opakowaniach po cenie od zł 0,40 do 2,60

PEBECO Spółka Akcyjna w Poznaniu

Nic dziwnego! Jedynie NIVEA zawiera Euceryt, środek wzmacniający skórę. Skóra domaga się wprost kremu NIVEA, aby mogła stać się odporną. Wzmocniona NIVEĄ będzie zawsze delikatna i elastyczna mimo słoty i mrozu. Czerwone ręce oraz szorstka i popękana skóra przestaną być naszą zmorą, jeśli rozpoczniemy jeszcze dzisiaj wzmacniać skórę kremem NIVEA.

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

WANDA ★ BOŃCZA



Fot. M. Ryś — Poznań.

Jan Ciepliński stale uzupełnia swój zespół tancerkami najbardziej doborowemi. Powiedział mi niedawno:

— Niech pan zajdzie na próbę. Mam nowy, bardzo cenny, nabytek.

Ponieważ Cieplińskiemu można ufać na słowo, bo do swych zespołów na objazdy zagraniczne wybiera jedynie prawdziwe talenty, skorzystałem z pierwszej wolnej chwili, by obejrzeć to „nowe cudo".

Rzeczywiście widzę przy drążku ćwiczebnym smukłą, zwinną, zgrabną blondynkę o ujmujących rysach.

Twarz wydała mi się znajoma. Ale napróżno staram się odnaleźć w pamięci nazwisko.

Jeden i drugi ruch taneczny, bardzo swoisty, lekki, eteryczny — już mi podpowiada: Wanda Bończa! Jakże mogłem nie poznać!

Nie jeden raz już ją widywałem na scenie. Zawsze musiałem chwalić za zdumiewającą precyzję techniczną i kulturę taneczną. Zasługuje w całej pełni, by umieścić ją w naszej artystycznej rubryce. Proponuję mały wywiad dla „Asa"...

— Ach, z przyjemnością — mówi moja czarująca interlokutorka dźwięcznym głosem — jestem przecież Krakowianką, więc szczególnie mi będzie miło coś powiedzieć temu ślicznemu pismu, które przecież tam wychodzi. Moja karjera artystyczna jest tak wielobarwna, jak jego piękne tytułówki.

— To właśnie mnie bardzo interesuje. Jakże się rozwijała pani karjera?

— Dążności artystyczne ujawniałam od dzieciństwa. Gdy miałam pięć lat, już grałam wszystko na fortepianie ze słuchu. Śpiewałam i tańczyłam. Już wtedy marzyłam o scenie. Rodzice jednak z tych wszystkich dążeń popierali jedynie „pianistyczne". Miałam zaledwie 6 lat, gdy zaczęłam uczęszczać do Konserwatorjum w Krakowie, jednocześnie ucząc się na pensji. Już w szkole podczas przedstawień amatorskich grałam, śpiewałam i tańczyłam.

— Po skończeniu pensji postanowiłam jednak pracować raczej w kierunku tanecznym. Jeszcze jako pensjonarka, uczyłam się rytmiki u p. Heleny Buczyńskiej w Krakowie. Na poważniejsze studja taneczne wstąpiłam do warszawskiej szkoły Janiny Mieczyńskiej, a potem do szkoły Haliny Hulanickiej, u której byłam wkrótce już nawet asystentką. Gdy p. Hulanicka przestała uczyć, przejęłam jej uczennice. Jednocześnie pracowałam w szkole tańca klasycznego Wery Petrakiewicz i z jej ramienia występowałam w operetce warszawskiej.

— Marjan Winter, obecny solista zespołu Wójcikowskiego, uczył mnie tańców charakterystycznych, ponieważ zaś od czasu nauki u p. Hulanickiej robiłam sporo akrobatyki, zrobiliśmy więc z nim i z Cywińskim tercet akrobatyczno-charakterystyczny i występowaliśmy w całej Polsce. Gdy miałem dość wędrówki, wstąpiłam do Opery Poznańskiej, gdzie tańczyłam dwa lata. Jednocześnie uczyłam tam młode miłośniczki tańca. Właściwie raczej przypadkowo. Nie ogłaszałam, że chcę dawać lekcje. Dziewczątka wprost zaczepiały mnie na ulicy, znając ze sceny operowej i prosiły, by je uczyć. Wkońcu zapragnęłam występów zagranicznych Miałam nawet sporo propozycyj. Oto, proszę spojrzeć, gotowy kontrakt do Wójcikowskiego i propozycja na Północną Amerykę. No, ale teraz „przyłapał" mnie Ciepliński i tak mi z nim dobrze, że przy nim zostanę. Chciałabym jednak przed wyjazdem dać kilka recitali w Warszawie i Krakowie. Nastąpi to bodaj już wkrótce...

L.



ŚCIEŻKI PANI DANDELLES

ANNA PRUSZYŃSKA

NOWELA

Nikt nie wiedział — może nikt nie zastanawiał się nad tem głębiej — dlaczego pani Dandelles, emerytka, opuściła na stare lata rodzime miasteczko Loches w prowincji Drôme, by się przenieść do dalekiego Noyon, leżącego aż w departamencie wyższej Sekwany.

— Ma tam paniusia najpewniej kogoś z rodziny? — pytały na chybił trafił stare sąsiadki.

— O, nie wcale — odpowiadała powściągliwie pani Dandelles.

— A więc przyjaciół? Znajomych?

— O nie, wcale — odpowiadała powściąściśle; z natury zamknięta w sobie i sama nie ciekawa spraw cudzych, stale w życiu hołdowała zasadzie: mów prawdę, ale nie całą.

— A więc dlaczego? — zapytywały znów jedna drugiej stare sąsiadki, posuwając się ulicami miasteczka drogą na targ, lub wracając ze Mszy porannej w farnym kościele.

— Źle tu jej było?

— Ano widać... Sprzykrzyło się jej, moja pani...

— — — — — — — — —

Otóż właśnie: Pani Dandelles od pewnego czasu źle tutaj było, życie w Loches zaczynało jej powoli obmierzać. A to dlatego, że począwszy od pewnej jesieni, w czarnych klepsydrach u wejścia do farnego kościoła zaczęsto się pojawiać zaczęły dobrze jej znane nazwiska. Póki jeszcze wyruszała na tamten świat stara gwardja, to było znośne. Lecz powoli zaczęła wyruszać i druga z rzędu: a mianowicie — i to właśnie bolało panią Dandelles — emeryci i emerytki, wszyscy mniej więcej jej rówieśnicy i rówieśniczki.

Przyznać trzeba, to nieprzyjemne.

— Co tu po mnie — pomyślała też dnia pewnego pani Dandelles.

I spakowała manatki.

— — — — — — — — —

Niema, jak być emerytką: wszędzie, jak kraj szeroki żyć można, z oszczędności wyrafinowany sport sobie czyniąc. Jest stale o czem myśleć, jest stale nad czem narzekać, bądź cóbądź jest stale na czem się oprzeć. Takie życie ma niewątpliwie swą własną treść i to rozłożoną rzeczowo na liczbę godzin, z których składają się dnie, na dnie, z których składają się miesiące, na miesiące, z których składają się lata.

To też pani Dandelles, emerytka, jakich jest wiele, przywiązaną była do swoich dni, do swoich lat; przywiązaną była do życia tak samo, powiedzieć można, jak do swojej emerytury. Jedno z drugiem było ściśle związane. Śmierć jedynie mogła to przymierze rozwiązać.

Czując to dobrze, pani Dandelles wolała osierocić wyjazdem swoim rodzime miasteczko Loches. Poprostu, jak to mówią „wyszła z kolejki", licząc zapewne, że Śmierć biurokratycznym postępem szukać jej będzie — czyli nieprędko odnajdzie.

I nie omyliła się wcale. .

— — — — — — — — —

W małem miasteczku Noyon odrazu poczuła się świetnie. Nikt bowiem tu nie umierał.

Faktycznie jak gdyby nikt. Wchodząc do miejscowego kościoła, pani Dandelles mijała też wprawdzie czarne klepsydry. Lecz już bez tego przykrego wrażenia, że przysuwa się jej kolejka. Czemże bowiem ostrzegać ją mogła śmierć niejakiego pana Fouquet, a nawet zasłużonego w tem mieście radcy Guillot? — Żadnem wspomnieniem przemówić do niej nie mogły bezosobowe imiona pani Kamilli Montal, Yvonny Mouche albo Alicji Vautier, sodaliski. — Śmierć tutaj była anonimową zupełnie, nie miała twarzy, nie miała swojej historji.

Pani Dandelles było dobrze. Pani Dandelles wprost odżyła w miłem miasteczku Noyon. Nic nie mąciło już jej spokoju.

Lecz w rodzinnem miasteczku Loches długo ją pamiętano. Dnia pewnego, razem z codzienną gazetką, znalazła w swej skrzynce pocztowej dużą kopertę, z czarną obwódką dokoła. Na znaczku pieczątka z Loches.

— Ktoś tam znów umarł, — pomyślała niechętnie pani Dandelles.

Zawahała się dłuższą chwilę, ważąc w ręku żałobną wieść. Rozpieczętować nie śmiała. Wprost wyrzucić nie śmiała także.

Wreszcie zamkniętą złożyła w szufladę biurka.

— Później — rzekła — przed Zaduszkami. Teraz nie czas, teraz nie chcę wiedzieć o niczem.

Ale Zaduszki minęły, a później z upływem dni, pani Dandelles przyłączać zaczęła do tej smutnej koperty jeszcze inne, również zamknięte.

I żyła dalej, pędząc dnie niezmącenie pogodne i beztroskliwe, strzegąc pilnie zasad higjeny i oszczędności.

Tak mijały dnie i tygodnie, miesiące — które się składały na lata.

— — — — — — — — —

Lecz wszystko ma swój koniec, a zwłaszcza wtedy, gdy jest za dobrze na świecie.

Dnia jednego — rzecz niebywała — dzwonek zadźwięczał nagle u drzwi wejściowych Niespodzianie odwiedziła panią Dandelles siostrzenica, przybyła z Loches.

Zatrzymała się od pociągu do pociągu, „by raz przecie kochaną ciocię odwiedzić".

Pani Dandelles, jakkolwiek mało — jak to u nas mówią — „rodzinna", niemniej jednak sobie ceniła, gdy rodzina okazywała jej względy. Gościnna w miarę, pamiętała wszakże dokładnie zasady, obowiązującego świat „savoir vivre'u".

Okazała zatem klasyczne, miłe zdziwienie. Siadać prosiła, częstowała białą kawą i sucharkami świeżemi, specjalnością ciastkarni w Noyon.

Własnoręcznie dorzuciła parę polan do pieca.

— Ogrzać się musisz — mówiła prawie serdecznie.

Nie pytała o interes, który tak dalekiej wyprawy stał się powodem; cudze sprawy, jak powiedziano, nie obchodziły jej nigdy: „les affaires sont les affaires", mawiają chętnie Francuzi, — pani Dandelles tej utartej w kraju zasadzie w pełni sprzyjała.

Natomiast grzecznie rozpytywać zaczęła o rodzime miasteczko Loches, o członków tam pozostałej rodziny.

— Jakżę tam powiedz, ciotka Matylda?... Nie dokucza jej zanadto reumatyzm w tę słotną jesień?

Bawiąca w gościnie pani spojrzała, nagle zdziwiona:

— Ach, ciociu droga! Już jej nic dokuczać nie może... przecie biedna już w grobie leży... od dwóch lat przeszło...

— Mój Boże! Nic nie wiedziałam...

Załamała ręce, zaskoczona nagle, szczerze zgnębiona. Zamyśliła się chwilę smutnie. Potem ostrożna, pytać zaczęła o młodszych:

— Jakże się powodzi twemu mężowi? Awansu już doczekał się chyba? Wasza Janka to chyba już po maturze?

Zkolei zaskoczona kobieta aż łyżeczkę z rąk wypuściła:

— Ach, ciociu moja!... No tak, Janka już jest po maturze, jest na uniwersytecie w Nancy... ale widzę, że ciocia o niczem tu nie wie... biedny Raoul od blisko trzech lat już nie żyje...

— Co ty mówisz?... Aniele Pański... — wyszeptała z przerażeniem pani Dandelles.

— No tak, no tak... grypa była... rzuciło mu się na nerki, kilka dni trwało zaledwo...

Milczała chwilę, potem pytająco dodała:

— Ale chyba ciocia zawiadomień nie otrzymała? Ja o Raoulu napewno posłałam, chyba poczta nie doręczyła...

CO MIESIĄC
5-CIO ZŁOTOWE OGNIWO
w łańcuchu zabezpieczenia przyszłości
KSIĄŻECZKA PREMIOWANA PKO V SERII

— Nie nie wiedziałam — powtórzyła wymijająco pani Dandelles.

I chcąc odwrócić rozmowę, wyraziła swoje współczucie:

— Biedny Raoul! Musi ci być ciężko bez niego... i materjalnie zapewne...

— O, tak cieciu! Dwa lata żałobę po nim nosiłam; i materjalnie było już ze mną tak źle, że ciocia nie ma pojęcia... ale teraz...

Zawahała się krótką chwilę, spuściła oczy.

— No cóż teraz? Sama pracujesz?...

— O, nie cieciu! Vous n'y pensez pas... w takich czasach... za trudno dzisiaj o pracę i jużbym może dzisiaj nie potrafiła... Poprostu drugi raz wyszłam zamąż... jestem teraz panią Chaillau, żoną Bernarda Chaillau, proszę cioci...

— Co ty mówisz! Aniele Pański, litości... jęknęła pani Dandelles ostatecznie skonsternowana.

— No tak, no tak, — potwierdziła z pewnem zniecierpliwieniem czterdziestolatka — nie wiem doprawdy, co ciocia tak okropnego w tem widzi... Bernard przecie porządny człowiek, a ja znów tak stara nie jestem...

— Nie o to idzie! Ale bój się Boga kobieto... przecie Bernard Chaillau jest żonaty! Rozwiodłaś go?...

— Ach, o to chodzi!...—Przybyła mimowoli się roześmiała. — Ależ nie, nie... niech ciocia się uspokoi... rozwodzić nie trzeba było... on też był wdowcem...

— Jezus Marja! Więc Łucja też...

— Tak, cieciu. Miała złośliwy nowotwór, do operacji nie doszło nawet... ale to niesłychane jest swoją drogą, że ciocia o niczem tu nie wie... Cóż to za poczta w tej dziurze?... Zaskarżyć warto...

— Ach, jeszcze co... w głowie się kręci doprawdy...

Nie mogła już myśli zebrać. O nikogo nie śmiała już pytać. Nie zatrzymywała też siostrzenicy, gdy po chwili ta zaczęła się żegnać, wymawiając się banalnie pociągiem, który nie czeka.

— Biedna ciotka — szepnęła do siebie, odchodząc — potrochu dziecinnieje już widać, w swoim czasie musiała zawiadomienia otrzymać, lecz zapomniała poprostu...

A tymczasem pozostawiona własnym myślom pani Dandelles czuła się zupełnie ogłuszoną.

W ustach miała gorycz piołunu, w uszach głos dzwonów — może dzwonów kilkunastu naraz pogrzebów.

Podeszła zwolna do biurka, otworzyła lewą szufladę.

Rzędem stały, jak je składała obrzeżone kirem koperty, każda kryła swą tajemnicę.

— Ta duża... to pewnie będzie Matyldy... a ta z dawniejszych to Rauol... a ta mniejsza, to może Łucja...

— A tamte? tamte?...

— Może Luiza?... Może Marynia? Jan może? a może tylko stary pan Ronce? — Może, broń Boże, Żanetka? Juljan może?... O, nie! Nie Juljan! Dlaczego? Dlaczegoby nie miał być Juljan?...

Luiza, to lata dziecinne, — Marynia, to szkolne lata... Jan, to rodzina, — Żanetka, lata młodości... Juljan, sen może...

O, gdyby wiedzieć... Gdyby wiedzieć tylko kto został jeszcze...

Wystarczy otworzyć te koperty...

Ale odczuwała teraz lęk zabobonny.

— Później — powiedziała sobie raz jeszcze, — gdy tylko następna przyjdzie, zaraz otworzę, wtedy łatwiej pójdzie z innemi.

Lecz do jej rąk dojść nie miała owa następna, obrzeżona jak poprzednie kirowem pasmem, z pieczątką poczty w rodzimem miasteczku Loches...

— — — — — — — —

Ktoś może sądzi, że sama pani Dandelles przeniosła się na tamten świat.

O, bynajmniej! Pani Dandelles ciągle żyje, świetnie się miewa.

Tylko wyjechała z Noyon, jak przed laty, z rodzimego miasteczka Loches. Tym razem jednak nie zostawiła adresu.

Być może, mieszka obecnie w Dormans, w departamencie Marny; albo w małem miasteczku Fougères, w departamencie Ille et Vilaine; a możliwie także w Nérac, w dolinie Loary albo w Romorantin na południu, albo w Saint-Quentin na północy... niewątpliwie spotkać ją można w tem lub owem miasteczku prowincji, niejeden z pewnością zna ją z widzenia...

Rankami powraca z targu wolnym truchcikiem; w każdą pierwszą niedzielę miesiąca na progu farnego kościoła daje jałmużnę, — nigdy więcej, niż może dać, a nigdy mniej, niż powinna.

Pani Dandelles jeszcze żyje, ścieżkami swojemi wciąż chadza, niestrudzona i niezmudzona.

Aby wyrugować śmierć z życia swego, odsunęła w głąb niepamięci tę życia wartość najistotniejszą, mogącą nawet młodość przydłużyć, której na imię wspomnienie. Wyrzekła się dobrowolnie tego kapitału starości, tych „dawnych i dobrych czasów", do których tak chętnie myślą każdy powraca.

I nie otworzy pewnie nigdy swej kolekcji kopert żałobnych: w postanowieniach swych skrupulatna, czekać będzie na tę następną, na tę, o której dobrze wie, że nie przyjdzie.

Aż wreszcie i o niej zapomną w rodzinnem miasteczku Loches, gdzie trzecie już pokolenie na tamten świat się przenosi.

Pani Dandelles jeszcze żyje, bo sercem swojem tak ostrożnie szafować umie, jak swoją emeryturą.

Może kiedyś tą drogą najdłuższą, ścieżynkami już podświadomych odchyleń, dojdzie sobie powolnym truchcikiem do tego błękitnego przedsionka, za którym wrota złociste otwierają się przecie także, otwierają się przecie wreszcie i nieśmiałym i małodusznym, nieużytym, lecz ostatecznie też nie szkodliwym, a na litość bezwzględnie zasługującym, choć niezdatnym chyba niebu jak ziemi.

— — — — — — — —

Dokończenie ze str. 2.

Podczas swej podróży do Królewca — Weyer dowiedział się o „cudownej" dziewczyncе z Unn, która od 12-tu miesięcy miała nic nie jeść — a mimo to nieźle wyglądała.

Weyer udał się do wioski, aby naocznie stwierdzić wiarygodność opowiadania. Od rodziców małej dowiedział się, że dziecko przechodziło jakąś chorobę i że od tego czasu nic nie je.

Doktór obruszył się:

— Jakto — mówił — Zbawiciel żył tylko 40 dni bez pożywienia — święci pańscy pościli po parę dni — ja sam 4 dni — pijąc tylko wodę, mogę wytrzymać. Tego jednak za wiele! Skądże mała ma rumiane policzki? Nieprawdą jest, aby dziecku potrzebne były kule, na których się wspiera. Jej garb też wydaje mi się wątpliwy.

Sprowadzono „cudowne dziecko" pod opiekę doktora, i po paru dniach okazało się, że dziewczyna odseparowana od siostry — poczuła głód i z wielkim apetytem zjadała ogromne porcje. Kule okazały się zbyteczne, garb znikł. I w tym wypadku Weyer zdemaskował oszustwo i naiwność ludzi, którzy chętnie dopatrywali się we wszystkiem czegoś nadprzyrodzonego.

W kilka już dni po wyżej przytoczonym wypadku, dowiedział się Weyer o nowym ewenemencie, którym był doktór Faust. — O tym czarnoksiężniku opowiadał ksiądz wiejski, który przed laty zetknął się z tym urwipołciem.

Było to tak: Kiedy Faust znalazł się kiedyś w niewyraźnej sytuacji, zwrócił się do księdza z prośbą o pomoc i oczyszczenie jego złej duszy. Prosty sługa Boży odprawił nad spryciarzem egzorcyzmy — za co Faust obiecał... środek przeciw zarostowi. Przyniesiono z apteki wapna niegaszonego i siarczku arszeniku. Mieszał to i gotował Faust. Wreszcie kazał księdzu przyłożyć do twarzy. Paliło to nieznośnie. Po oznaczonym czasie ksiądz zdjął kompres, i rzeczywiście włosy wyszły, ale razem z niemi zeszła skóra. Biedny ksiądz leżał po zabiegu przez trzy tygodnie ciężko chory.

Gdy Weyerowi opowiadano, że Faust posiadał czarnego psa, z którym sypiał i że psem tym jest szatan — uśmiechał się, lecz w głębi duszy odczuwał niepokój. Bo oto i jego nauczyciel wielki Agrippa — posiadał psa, zwanego „Monsieur". Pien ten w czasie, gdy jego pan zgłębiał tajemnice podziemnego świata — żywił i pielęgnował go, przynosząc jedzenie.

* * *

W 46 roku życia napisał Jan Weyer książkę. Było to niezwykle odważne wyzwanie do ówczesnego świata.

„Wielu nagrodzi mnie — pisał Weyer — nie wątpię w to — nienawiścią i oszczerstwami. Teolodzy powiedzą: medyk nie powinien tłumaczyć słów biblji. (Ale przecież także św. Łukasz był lekarzem). Prawnicy zemszczą się na mnie, bo ich prawa zaczepiam i kwestjonuję, a czarownicy w świnię przemienić mnie zechcą, oczarować i zazionąć".

„Nic jednak nie zmusi mnie, aby naszym nieoświeconym czasom jasnej prawdy nie wskazał. Pogardzam wyrocznią, a boję się tylko tych, którzy trucizny warzą. Ci szkodzą rzeczywiście i tych nie będę bronił, jak biednych „czarownic". Zresztą wszystko, co tu piszę, poddaję wyrokom Kościoła Chrystusowego i tego nie potrzebuję się wstydzić".

Książka Weyera jest rzeczywiście traktatem lekarsko-teologiczno-prawniczym. Jest ona odpowiedzią na przerażający „Młot na czarownice", stosowany przez zdziczałych katów.

Jan Weyer załatwił się w swej książce najpierw z djabłem, o którym powiada: „Nie może on nic, jeżeli Bóg nie zechce". Następnie rozróżnia czarowników od wyrabiających trucizny. Próbuje usunąć lęk przed czarną sztuką i wzmiankuje, że ci, którzy ją uprawiają, biedni, bezwstydni szalbierze są zupełnie bezsilni. Następnie broni czarownice. Udziela rad oczarowanym i odmawia im rozumu.

W odpowiedzi na książkę zaczęto szeptać, że na ostatnim sabacie czarownic mianowano Weyera nadwornym literatem szatana. Kościół postawił jego imię na indeksie zakazanych pism i nadał mu drugi stopień bezbożności.

Weyerowi jakby to nie wystarczało. Ośmielił się walczyć z hiszpańską Inkwizycją. Ostatecznie koło intryg zacieśniło się, wikłając coraz bardziej Weyera. Szpiedzy wcisnęli się na dwór książęcy.

W tym czasie książę Alba „oczyszczał" Holandję. Miasta zdobyte podpalono. W Haarlem w 3 dniach zabito 2 tysiące mężczyzn. Kaci nie mogli nadążyć. Musieli topić skazańców, związanych parami.

Weyer napisał rozprawę o „chorobie gniewu", wspominając o losach Naarden, Zütphen i Haarlem. To wystąpienie nastręczyło mu nowych nieprzyjaciół. Syn Weyera został wypędzony z uniwersytetu kolońskiego. Ostatnie lata życia doktora Weyera — to ustawiczna ucieczka przed prześladowcami. Jasne jednak teorje, rzucone między ludzi, zaczęły kiełkować. Ale pomimo to — ostatnia czarownica została spalona w roku 1782, a więc dopiero w dwieście lat po śmierci swego obrońcy, doktora Jana Weyera. **Jot.**

MALARZ-POETA



Na lewo:
Bronisław Kopczyński, który odtworzył w swych obrazach piękno polskich miast.



Rzym — akwarela.



Kaplica Trzech Króli we Lwowie.



Fragment katedry na Wawelu.

Jak w literaturze dzielimy pisarzy na realistów, analityków, symbolistów, psychologów — tak można podobny podział zastosować w odniesieniu — do artystów-plastyków. Jedni widzą świat w plasterku cytryny, lub z przyjemnością malują śledzie, drudzy tworzą bajkowe wizje z kraju lat dziecinnych, inni szukają typów w modelowanej głowie, wreszcie są tacy, co z zamiłowaniem malują motywy architektoniczne, tamci znów pejzaże. Ale nie chodzi tu tylko o temat, lecz także o sposób przedstawienia. Patrząc na tę samą rzecz — każdy człowiek widzi ją inaczej. A cóż dopiero artysta, dla którego świat jest wizją jego duszy, a rzeczywistość transponuje on na swój język, swój styl! Bo wszak najważniejszemi cechami artyzmu są: talent i indywidualność.

Te dwa wielkie skarby posiada znany i ceniony artysta-malarz — Bronisław Kopczyński, rozmiłowany w pięknej architekturze, starych, rozpadających się murach, średniowiecznych zameczyskach, renesansowych kościołach, walących się karczmach przy rozstajnych drogach...

Malując znikające powoli zabytki naszej kultury — artysta słyszy dziwne historje, które w sekrecie powierzają mu cegły, dachówki, szeroko na świat patrzące okna i gościnne drzwi i pochyłe ze starości kolumny, niegdyś tak majestatyczne... „Ciszej, wolniej" — szepce artysta — „nie spieszcie się, z chaosu waszych głosów nie mogę wyłowić ni słowa"... A artysta maluje z radością w duszy, ze skupieniem niemal religijnem, bo kocha historję pisaną wielkiemi literami monumentalnych kościołów i małemi literkami kapliczek przydrożnych.

Kopczyński łącząc pietyzm dla każdego załamku muru z romantyzmem duszy, tworzy pełne niewysłowionego nastroju i poezji obrazy, opiewające piękno i czar naszej ziemi, często niedoceniane, niedopatrzone. I dopiero trzeba artysty, by zwykłemu śmiertelnikowi, ślepemu dotąd na piękno, zdjąć bielmo z oczu i odsłonić tajemnice dotąd nieznane. W 60 przeszło obrazach Kopczyński odmalował urok Warszawy, często, w ostatniej niemal chwili utrwalając to, co dziś już nie istnieje, co zmiotło z powierzchni ziemi nieubłagane prawo życia i śmierci. Głęboki sentyment do Krakowa (gdzie Kopczyński uczęszczał do Akademji) każe mu choć raz na rok złożyć wizytę miastu „urbi celeberrimae totius Poloniae", a hołd i zachwyt swój wyrażając pełnemi wyrazu i wdzięku płótnami.

Kopczyński przewędrował z paletą w ręku Polskę wzdłuż i wszerz. Malował Sandomierz, Lublin, Wilno, Kazimierz.

Plon ostatnich wakacyj stanowi prześliczny cykl „Szlakiem Trylogji" (który zostanie wystawiony w styczniu w „Zachęcie Warszawskiej"). Pola, wioski, miasteczka, upamiętnione bohaterskiemi walkami, odżyły znów, dzięki wędrówce malarza-poety, który przywiózł z sobą szereg obrazów z Wiśnicza, Zbaraża, Drohojewa, Buczacza, Rohatyna, Złoczowa, Krzemieńca i innych. Urok walących się domeczków, które często cudem jakimś jeszcze się zachowały, kolorowych karczem, drewnianych kościołków — znów z maestrją, liryką ogólnego tonu odtworzył Bronisław Kopczyński.

Lecz architektura, aczkolwiek ukochana, nie jest wyłącznym tematem dzieł artysty. Wielką sensację zaraz po wojnie wzbudził w Warszawie ogromny obraz pt. „Wręczenie medalu ks. Onufremu Kopczyńskiemu za gramatykę polską". A to z dwóch względów: imponujące to dzieło w świetny sposób oddało ów uroczysty nastrój, jaki panował owego dnia, gdy w Tow. Przyjaciół Nauki, czcigodnemu 80-letniemu jubilatowi, wręczono medal (wybity przez naród) w obecności znakomitych ludzi tej epoki z Staszycem, Mochnackim, Potockim na czele. A drugim powodem szczególnego zainteresowania publiczności była osoba twórcy dzieła, powinowatego tego wielkiego miłośnika języka polskiego, pierwszego autora gramatyki polskiej. Jezuita Kopczyński zachował pozatem pamięć, jako człowiek o gołębiem sercu, niezwykłej dobroci, którą ludzie chętnie wykorzystywali. Na ten temat znana jest ciekawa anegdota. Ks. Kopczyński zwrócił pewnego razu uwagę domokrążnemu sprzedawcy węgla, wołającemu: „Wągli, wągli sprzedaje", ,mówiąc: „Masz tu przyjacielu szóstaka, abyś sobie zapamiętał, że mówi się: węgiel a nie wągli".

Węglarz wyszedł na ulicę, poprawnie nawołując klientów do towaru. Lecz... po paru dniach przyszedł na podwórko księdza, znów błędnie wykrzykując: „Wągli, wągli"... Jezuita znowu dał szóstaka z upomnieniem, które nie poskutkowało na długo....

Inne dzieło również o charakterze muzealnym, to wystawione w zeszłym roku na Salonie pt. „Wczoraj" z cyklu „Stara Warszawa". Obraz ten przedstawia na tle murów Starej Warszawy — ludzi, którzy stali się już legendą, dnia wczorajszego.

Bronisław Kopczyński, podobnie, jak jego znakomity przodek, zasłużył w społeczeństwie na medal: „Bene merentibus".

mgr. Kr. Dienstl-Kaczyńska.

Etyka

ZWIERZĄT

INŻ. WŁADYSŁAW MÜLLER

Mówiąc o etyce musimy ustalić, co właściwie pod tem pojęciem rozumiemy, co będziemy u zwierząt nazywać etycznem a co nieetycznem. Otóż etyką nazywamy pewne zasady okólno-ludzkie, według których postępujemy w życiu codziennem, niczem nie przymuszeni, kierując się tylko rozumem i wewnętrznem poczuciem. Jeżeli chodzi o zwierzęta to kwestja etyki bardzo się komplikuje. Jeżeli bowiem bezkrytycznie będziemy obserwować życie zwierząt, to dojdziemy do wniosku, że zwierzęta są o całe niebo etyczniejsze od nas. Nie uwzględniamy wtedy jednak wolnej woli człowieka i jego rozumu.

Etyka zwierząt jest wynikiem nieubłaganej walki o byt, jest wynikiem żelaznych praw przyrody. Zwierzę wyjęte z pod tych praw, n. p. oswojone czy domowe zachowuje nadal te same zwyczaje, chociaż one nie mają już racji bytu i stają się nawet nieetyczne. N. p. zwierzęta mają dość wyrobione poczucie własności. W lasach i na stepach zwierzęta dzikie mają pewne rejony, których przestrzegają i każde poluje na swym rejonie. Jeżeli trafi się, że jakieś zwierzę nie przestrzega tego prawa, to właściciel rejonu rzuca się na nie z niezwykłą wściekłością. Otóż to pojęcie zachowało do dziś dnia bydło domowe. Jeżeli wprowadzimy do stada nową sztukę, to całe stado odnosi się do niej wrogo. Paszy jest poddostatkiem, ale prainstynkt każe zwierzętom obawiać się o żywność. Pies n. p., tak przywiązany do swego pana, często warczy na nieo przy jedzeniu. Otóż to, co u zwierząt nazywamy etyką, nie ma z nią nic wspólnego.

Etyka zwierząt to pewne zasady, utrwalone przez walkę o byt, nie podlegające rozumowi, lecz instynktowi. W nieubłaganej walce o byt nie mogły w przyrodzie powstać osobniki lekkomyślne, złe, dobre, tkliwe, podstępne, podłe i t. p., jak to widzimy u ludzi. Pewne cechy utrwalały się dla całego gatunku ściśle bez żadnych jednostkowych odchyleń.

Cechy te utrwalały się wreszcie tak, ażeby zapewnić danemu gatunkowi trwały byt z pokolenia na pokolenie. Człowiek zły, dobry, rozpustny, niestały, są to pojęcia właściwe tylko rodzajowi ludzkiemu. Wśród zwierząt dzikich w danym gatunku takich odchyleń nie spotykamy. Mówimy n. p. chytry lis, krwiożerczy jastrząb, fałszywy kot, ale są to pojęcia nie dla poszczególnych osobników, lecz dla całego gatunku. Taka cecha jak chytrość, czy krwiożerczość wyrabia się u zwierząt dla całego gatunku drogą ewolucji. Że jastrząb jest krwiożerczy, wiedzieliśmy o tem bardzo dawno. Jest to bowiem cechą tego gatunku. Etyka ludzka jest cechą zmienną, zależną od środowiska, w jakiem urabia się człowiek, zależna od wpływów zewnętrznych.

Mówimy n. p. ognisty Włoch, flegmatyczny Anglik, są to bowiem cechy temperamentu ściśle dziedziczne. Nikdy zaś nie powiemy dobry Anglik lub zły Włoch, tu bowiem wkraczamy już w dziedzinę etyki, która jest cechą zmienną. Może się trafić zły Anglik, dobry Włoch i naodwrót. Nie są to bowiem cechy rasowe. Z tych rozważań widzimy, że o etyce w tem znaczeniu jak wśród ludzi, w świecie zwierzęcym nie może być mowy. Etyka zwierząt to pewne prawa instynktowne, dziedziczone z pokolenia na pokolenie, nigdy jednak nie podlegające rozumowi. Niech parę przykładów poprze powyższe wywody:

Jak wiemy, istnieją w przyrodzie źli i dobrzy ojcowie. Samiec wilk pożera swoje dzieci, natomiast samiec struś jest tak niesłychanie czułym ojcem, że sam na zmianę z matką wysiaduje jaja, a małe pisklęta często broni przed gniewem matki. Samiec lew jest czułym ojcem, a jego bliski krewny, kot domowy, rzuca się na własne dzieci. Dobrotliwy kaczor prześladuje swe dzieci, a okrutny jastrząb jest kochającym ojcem. Z punktu widzenia naszej etyki potępimy bezwzględnie wilka, a rozczulać się będziemy nad strusiem. Tymczasem jest to z gruntu fałszywem. Człowiek ojciec może być zły lub dobry, jest to pewna właściwość danego człowieka. Natomiast u zwierząt jest wprost przeciwnie. Pewne gatunki samców opiekują się dziećmi inne nie. W granicy poszczególnych gatunków niema żadnych odchyleń. Gdybyśmy głębiej wniknęli w zagadnienie dobrych i złych ojców wśród zwierząt, moglibyśmy postawić hipotezę, że miłość ojców do dzieci zależy od warunków życiowych. Tam, gdzie matka może sama wychować młode, tam ojciec się o nie nie troszczy i przeciwnie. Cecha ta przez tysiącletnią ewolucję utrwaliła się i ustaliła.

Dziś, gdy nawet zwierzę znajdzie się w odmiennych warunkach, zachowuje instynktownie dawne utrwalone zasady. Ptaki zabijają swe słabe pisklęta, świstaki mordują bezlitośnie słabszych współtowarzyszy, ale tu znowu nie może być mowy o braku etyki, gdyż wchodzi tu w grę instynkt samozachowawczy. Rodzice zabijają swe słabowite dzieci, aby lepiej wyżywić i wychować pozostałe. Stado zabija słabego towarzysza, bo taki chory byłby zawadą dla wszystkich i mógłby przyczynić się do ich zagłady.

Mówiąc o etyce zwierząt, często popełniamy błąd, sądząc zwierzęta z naszego punktu widzenia. Przypomina to pewną anegdotkę turecką: Pewien Turek położył na polu przepisy Koranu. Po chwili na pole przyszedł słoń, przyglądnął się zdaleka białym kartkom i strwożony uciekł. Niedługo na pole przybiegła małpa, chwyciła bez namysłu kartki i ze złością podarła je.

— Słoń jest stworzeniem bogobojnem, — powiedział Turek, — albowiem szanuje przykazania Boskie — małpa zaś jest bezbożnem, złem stworzeniem, bo całkiem na nic nie zważa.

Podobne stanowisko bardzo często i my zajmujemy w stosunku do zwierząt. Oczywiście, że słoń, jako stworzenie o bardzo słabym wzroku, przeląkł się kartki i uciekł, małpa zaś, zwierzę wzrokowe, wiedziała, że niema się czego obawiać i kartki podarła.

Bergmann, niemiecki uczony w jednem ze swych opowiadań o zwierzętach podaje taki opis:

Pewien myśliwy położył się spokojnie w lesie i tak niewidocznie, że dzika maciora z małemi warchlakami przeszła tuż koło niego, nie zauważywszy niebezpieczeństwa. Myśliwy nie mógł się powstrzymać i porwał jedno małe i szybko wdrapał się na drzewo. Dzik jednak nie ruszył się z pod drzewa i myśliwy zmuszony był oddać warchlaka. Matka obwąchała go i natychmiast zabiła. Z naszego punktu widzenia musimy wyrazić jak najwyższe oburzenie. Byłoby to jednak krótkowzrocznem. Przyczyną brutalnego postępowania matki jest instynkt samozachowawczy. Inaczej nie rozróżniałaby woni człowieka od woni własnego dziecka, tem samem nie zwietrzyłaby zbliżającego się myśliwego. Podobnie w takich warunkach postępują i lisy. Zarówno bowiem lis, jak i dzik są zwierzętami węchowemi, o bardzo słabym wzroku i kierującemi się tylko węchem.

Świni domowej możemy podłożyć obce prosięta, jeżeli obce i jej własne małe posmarujemy maścią o jednakowej woni. Wtedy maciora nie rozróżnia swoich dzieci od obcych. Często mówi się, że zwierzęta różnych gatunków ostrzegają się nawzajem przed niebezpieczeństwem. Jest faktem niezaprzeczonym, że ptactwo przybrzeżne uważa zawsze na zachowanie się czajki i na jej donośny krzyk w popłochu ucieka. Czajka jednak wydaje ten krzyk nie ze względów altruistycznych, aby ostrzec inne gatunki, tylko sama, widząc niebezpieczeństwo, wydaje okrzyk trwogi, z czeko korzystają i inne ptaki. Podobnie twierdzono i o grzechotniku, który swym głosem ma rzekomo ostrzegać zwierzęta przed niebezpieczeństwem. Już Darwin zauważył, że wąż ten tylko w razie osobistego niebezpieczeństwa wydaje grzechot, którym chce przerazić nieprzyjaciela. Oczywiście korzystają z tego i inne zwierzęta i słysząc głos napadniętego węża, same uciekają zawczasu.

Niejednokrotnie również przypisujemy psom i kotom poczucie czystości dlatego, że zakopują swe odchody. Skąd jednak u psa, który tak lubi tarzać się po gnoju, takie zamiłowanie porządku? Przyczyną tego jest prosty egoizm. W stanie dzikim pies i kot byli drapieżnikami. Zwierzyna tropiona przez nich była obdarzona niezwykle czułym węchem, a pozostawione na wierzchu odchody byłyby dla niej świetnym znakiem ostrzegawczym. Zarówno więc kot jak i pies musiały zakopywać swe odchody, by zatrzeć ślady swej bytności.

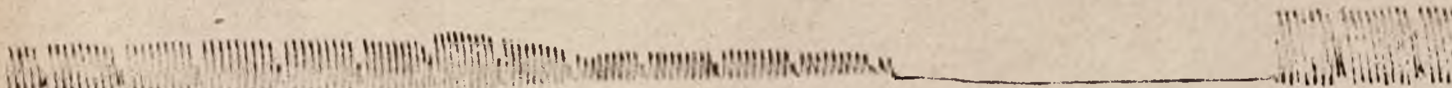
Widzimy więc, jak zupełnie odmiennym jest świat zwierząt i jego etyka. Nowe warunki życia oddaliły człowieka od natury. Człowiek cywilizacji zatracił instynkt. Rozum pcha go na szczyty idealizmu, ale i często spycha w otchłań zła, jakiego nie zna świat zwierzęcy. Zwierzę, ujęte w żelazne karby natury, nie może być etyczne, lub nieetyczne. Pojęcie etyki rodzi się razem z cywilizacją, która stworzyła liczne konflikty i przed człowiekiem stawia wiele dróg do wyboru złych i dobrych. Od człowieka zależy, którą z tych dróg wybierze. W życiu zwierzęcia tych dróg niema. W naturze jego odzwierciedlają się nieubłagane, ale logiczne prawa natury, nie wyrozumowane, lecz instynktowne.

„SWEAT" CHCE IŚĆ NA SPACER...

Fot. Schostal.



RADJOTELEGRAM ZE STRATOSFERY



Oto jak wygląda oryginalna depesza, nadesłana przez radjo-sondę z stratosfery a zanotowana przez oscylograf.

Ostatnie dni przyniosły w prasie wielu krajów europejskich ciekawą dyskusję na temat wzlotów do stratosfery. — U Czytelnika, śledzącego jako laik polemikę uczonych tej miary, co prof. Piccard z osobistościami, stojącymi na czele Polskiego Komitetu Lotu Stratosferycznego, zjawiły się niewątpliwie niepokojące pytania: co to jest właściwie ta stratosfera? Poco ludzie — mówiąc językiem niezbyt literackim, ale potocznym, „pchają" się do owej tajemniczej, nieodgadniętej stratosfery. Jakich spodziewają się stąd rezultatów naukowych, a jakich praktycznych?

Postaram się na pytania te dać odpowiedź możliwie wyczerpującą, nie wkraczając jednak w sferę naukowych dociekań. Pojęcie stratosfery zostało sprecyzowane przez uczonego francuskiego Teisserenc de Bort'a już kilkadziesiąt lat temu w r. 1892, który atmosferę, wznoszącą się ponad ziemią, podzielił na dwa „piętra". Niższe nazwał troposferą, wyższe stratosferą. Różnicą pomiędzy temi „piętrami" polega na tem, iż w troposferze temperatura średnio zmniejsza się w kierunku pionowym o około pół stopnia Celsiusza co 100 metrów, zaś w stratosferze, ze wzrostem wysokości pozostaje ona bez zmiany. W troposferze powstają prądy powietrzne, kondensacja pary wodnej, tworzenie się chmur, opadów. W stratosferze tych zjawisk już niema. Granica stratosfery jest niejednolita w stosunku do powierzchni ziemi; nad równikiem rozpoczyna się ona na wysokości 14 km, nad Polską na wysokości 10,5 km. W innych szerokościach geograficznych wahać się ona będzie w granicach od 9,6 km do 17 km *).

Nie należy sądzić, iż naukę współczesną pasjonuje poznanie stratosfery, jako oderwanej części naszej atmosfery. Chodzi o zgłębienie tajemnic całego oceanu atmosfery, na dnie którego żyjemy. Nauka bije się w piersi i przyznaje lojalnie: więcej wiemy o gwiazdach, odległych od nas o biljony kilometrów, niż o atmosferze, dzięki której żyjemy, a dalekiej od nas „o krok", o kilka zaledwie kilometrów. To jest wprost paradoksalne. Astronomja, jako nauka, istnieje już tysiące lat; znana była na tysiąc lat przed naszą erą. Natomiast aerologja, to jest nauka o wyższych warstwach atmosfery (mniej więcej od kilku kilometrów wzwyż), jest jedną z najmłodszych dziedzin nauki. Została ona zapoczątkowana dopiero w ostatnich kilku latach ubiegłego stulecia przez G. Hermite'a i G. Besançon'a. Jest to więc nauka dopiero — w powijakach. Stwierdzenie tego stanu rzeczy wystarczyłoby właściwie za odpowiedź na wszystkie postawione na wstępie pytania! Jeśli przed nauką zjawiły się nowe zagadki, nieodkryte dziedziny i problemy, niema się co dziwić, iż nauka ta, mając do dyspozycji technikę XX wieku, stara się — poprostu — dowiedzieć w danym zakresie jak najwięcej.

*) wg: K. Lisowski — Budowa atmosfery w czasopiśmie „Wszechświat".



Przygotowania do wzlotu meteorografu małego typu.

Wszystkie zdjęcia fot. R. Burzyński, Warszawa

Zanim przejdę do wyliczenia bardziej ciekawych zagadek, kryjących się w atmosferze, jeszcze kilka słów o pierwszych krokach aerologji, które doprowadziły w rezultacie do owego „odkrycia" stratosfery.

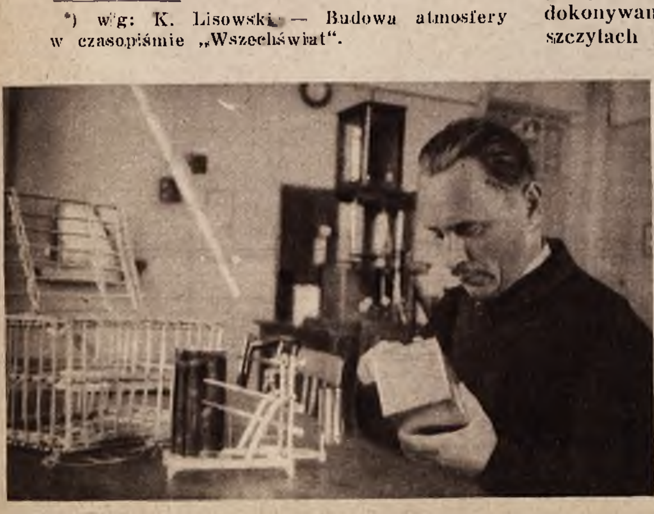
Od czasów wymienionych G. Hermite i G. Besançon, rozpoczęto usilnie badania coraz wyższych rejonów powietrza. Początkowo przeprowadzano to drogą bardzo prostą — dokonywano pomiarów i badań na wysokich szczytach gór. Okazało się to jednak niewygodne i niepraktyczne, szczególnie ze względu na bliskość powierzchni ziemi. — Skonstruowano zatem przyrządy meteorologiczne t. zw. meteorografy, rejestrujące ciśnienie atmosferyczne, temperaturę i wilgotność powietrza samoczynnie i rozpoczęto wypuszczanie tych przyrządów na balonach w górę. Początkowo były to balony na uwięzi, lecz te dochodziły najwyżej do 5 kilometrów. Zastosowano zatem latawce, wypuszczane na stalowych linkach i to systemem t. zw. tandemowym, to jest po kilka latawców razem. Pierwszy latawiec wznosił przywiązany doń meteorograf na pewną wysokość; gdy ze względu na wagę linki, nie mógł się on wznosić już wyżej, wówczas wypuszczano drugi latawiec, który ułatwiał pierwszemu dalsze unoszenie się w górę. — Latawce takie są jeszcze dziś w użyciu; okazały się one jednak bardzo niebezpieczne ze względu na możliwość zerwania się stalowej linki, która następnie, wleczona przez latawiec po ziemi, mogłaby niszczyć przewody wysokiego napięcia, telegraficzne i inne. Poza tem rekordowa wysokość latawców, osiągnięta przez Niemców, wynosiła zaledwie... 7 km.

Wreszcie skonstruowano balony-sondy. Są to niewielkich rozmiarów balony gumowe, które puszcza się wolno. Pod balonem uwiązany jest samopiszący meteorograf oraz spadochron. Balon wznosić się może do wysokości 30 a nawet 35 kilometrów. Tam balon pęka, a aparat powraca na ziemię przy pomocy spadochronu. Za pomocą w ten sposób dokonanych pomiarów, poznano różne właściwości górnych warstw atmosfery i ustalono istnienie tej warstwy, którą nazwano stratosferą.

Z tą chwilą zaczęły się jednak zjawiać coraz dalsze i ciekawsze pytania.

Dotychczas sądziliśmy — na podstawie obserwacyj, iż im jest wyżej, tem zimniej, że na wysokości 40—50 km. jest lodownia, wyrażająca się kilkuset stopniami poniżej zera. Tymczasem cóż się okazało? Oto począwszy od granicy stratosfery, temperatura zaczyna wzrastać. Najwyższe odległości, osiągnięte przez balony-sondy, doszły do 35 km, co jednak jest niepotwierdzone. Praktycznie biorąc, nie zmierzono jeszcze temperatury atmosfery powyżej 30 km. Jeśli stwierdzono niezbicie, iż począwszy od piętnastego kilometra do trzydziestego, temperatura wzrasta, zjawia się pytanie: jak daleko będzie jeszcze wzrastać? Czy w nieskończoność? Wreszcie najbardziej pasjonujące pytanie: dlaczego temperatura wzrasta?

Nawiasem wspomnę, iż istnieje kilka hipotez naukowych, które starają się dać od-



Na lewo: W laboratorjum aerologicznem: meteorograf, — widoczny na środku stołu z czarną rurą, — zostanie za chwilę zapakowany do koszyka (na lewo), w którym wzniesie się w stratosferę.

Na prawo: Koszyk, w którym znajduje się meteorograf, zostaje przed wzlotem w stratosferę owinięty w błyszczącą blachę aluminjową, która odbija promienie słoneczne.



powiedź na to pytanie, oraz kilka sposobów teoretycznego obliczania temperatury na wysokościach ponad 30 km. Jedną z najciekawszych dróg do dokonania tych pomiarów jest obserwowanie meteorytów, przebiegających przez atmosferę, a w szczególności obliczenia, w jakiej odległości od ziemi one się zapalają, w jakiej gasną, względnie (na skutek tarcia o atmosferę) zamieniają się całkowicie z ciała stałego w gaz. Uczeni Lindenmann i Dobson obserwując te zjawiska, postawili hipotezę, popartą i innemi doświadczeniami, jak rozchodzeniem się w stratosferze dźwięku i światła, iż na wysokości 50 km panuje iście tropikalne ciepło 30° C, odtąd zaś w górę temperatura ma znów maleć. Definitywnie jednak zjawisko to i jego przyczyny są niewyjaśnione.

Dalsza tajemnica: Według praw hydrostatyki, w górnych warstwach atmosfery winny znajdować się najlżejsze gazy, wchodzące w skład powietrza, a więc wodór i hel. Tymczasem badania, dokonane za pomocą analizy spektralnej, wykazały, że na wysokości 100 km wogóle już wodoru niema. Dlaczego?

Wiemy, że istnieje t. zw. promieniowanie kosmiczne. Szczególnie łatwo daje się ono zaobserwować w stratosferze. Ale jakie jest źródło owego promieniowania? Nie wiemy tego.

Zbadaliśmy, że pogoda „powstaje" (mówiąc obrazowo) w troposferze. Ale czy tylko w troposferze? Czy na pogodę nie wpływa też i stratosfera? A jeśli tak, to w jakim stopniu?

Oto pytania, z któremi, sądząc z obecnego stanu wiedzy i techniki, aerologja nie upora się prędzej, jak za kilkadziesiąt lat.

Jak widać, są to pytania narazie czysto naukowe. Ale dopóki nauka na pytania te nie odpowie, nie wolno nam stawiać pytań z zakresu życia praktycznego. Dlaczego? — Bo.. właściwie nie wiemy o co pytać! Pamiętajmy, że stoimy wobec zupełnie nieznanych dziedzin, z których wypłynąć może najbardziej nieoczekiwana zagadka. W swoim czasie, odkrycie fal elektromagnetycznych uważano za wynik czysto naukowy, najzupełniej bez praktycznego znaczenia. — W rezultacie w kilka lat potem fale elektromagnetyczne dały nam przedmiot codziennego użytku: radjo. A czy wówczas, gdy odkrywano fale elektromagnetyczne, mogliśmy zadać nauce pytanie: poco odkrywacie te fale? Co nam z tego przyjdzie? Nie! Kto wie zatem, czy również i zbadanie stratosfery nie da wkońcu czegoś nieoczekiwanego.

Oczywiście że nauka nie idzie zupełnie na ślepo. Już dziś przewiduje, iż w stratosferze odnajdzie rozwiązanie kwestji stanów pogody i jej przewidywania na przyszłość, ze 100% dokładnością. Praktycznie byłby to rezultat nieoceniony, zwłaszcza dla rolnictwa, lotnictwa, żeglugi i wojskowości. — Nowoczesna wojna jest nie do pomyślenia bez wysoko postawionej służby meteorologicznej i aerologicznej

Czy człowiek, wzlatujący w gondoli aerostatu, czy balon-sonda, wznosząca w górę wszelkie najbardziej precyzyjnie notujące aparaty, wydrze tajemnice stratosfery?

Dopóki posługiwano się zwyczajnemi sondami, zawsze narażano się na tę niedogodność, że wyniki zapisków, dokonanych przez samopiszące aparaty, odbierano dopiero po znalezieniu opadniętego na ziemię balonika. Następuje to po paru godzinach, ale czasami i po paru dniach. Poza tem zawsze zjawiał się argument, iż najbardziej precyzyjny aparat samopiszący potrzebuje opieki człowieka. Te strony ujemne maleją przy użyciu t. zw. radjosond.

Radjosonda jest to meteorograf (przyrząd wskazujący ciśnienie, temperaturę i wilgotność powietrza), uzupełniony radjową krótkofalową stacją nadawczą. Balonik, wznosząc się w górę, bierze ze sobą do stratosfery meteorograf, stacyjkę radjową i potrzebne do jej uruchomienia baterje. Stacja ta, zupełnie bez konieczności obsługi ludzkiej, nadaje ze stratosfery sygnały, które odbiera się na ziemi za pomocą odbiornika radjowego na słuchawki, względnie na oscylografie, to jest przyrządzie, który sygnały notuje na pasku papieru. W ten sposób wyniki pomiarów znane są natychmiast, jeszcze w czasie pobytu baloniku w stratosferze. Dodajmy do tego, iż zapomocą t. zw. goniometru możemy bez obserwowania (wzrokiem) radjosondy ustalić w każdej chwili jej położenie, przebieg wzlotu, kierunek i szybkość poruszania się i przekonamy się, jak dalece precyzyjnym jest ona przyrządem. Wartość sondowań będzie nadal wzrastała w miarę wysyłania pod balonikiem dalszych instrumentów. Do takich należą przyrządy, służące do pobierania próbek powietrza na dowolnej wysokości, a więc na wys. 30 km.



Urzędnik obserwatorjum aerologicznego w Legjonowie odczytuje notowania na aparacie gonjometrycznym.



Radjo-sonda, którą widzimy na zdjęciu, posiada (na lewo) nadawcze urządzenie radjowe, mechanizm zegarowy (w środku), na prawo zaś widzimy meteorograf.

Na prawo: Balon większego typu, unoszący w stratosferę radjo-sondę (w rękach obsługującego na lewo), która po pęknięciu balonu opadnie na ziemię z pomocą spadochronu (w rękach obsługującego na prawo).



Urządzenie takie jest niezwykle dowcipnie skonstruowane. Jak wiadomo, metale pod wpływem zmiany ciśnienia barometrycznego mogą zmieniać swój kształt. W danym instrumencie umieszczono wygiętą płytkę, która w miarę zmniejszania się ciśnienia (a więc w miarę wznoszenia się baloniku), wyprostowuje się. Gdy wyprostuje się do obliczonej zgóry odległości, dotyka guzika, którym włącza prąd elektryczny. Młoteczek rozbija wejście do szyjki butelki, zaś prąd elektryczny po kilku sekundach zatapia otwór butelki spowrotem. W ten sposób, gdy naczynie wróci do laboratorjum, otrzymuje się autentyczną próbkę powietrza z dowolnej wysokości. Dotychczas udało się nauce pobieranie w ten sposób próbek powietrza do wysokości 10.000 metrów. Nasze Obserwatorjum Aerologiczne w Legjonowie, gdzie również skonstruowano tego rodzaju instrument do pobierania próbek powietrza, spodziewa się już w najbliższym czasie uzyskania w tej dziedzinie rekordu conajmniej 21 tysięcy metów.

Przygotowanie sondy do wzlotu, wycechowanie przyrządów jest sprawą bardzo kłopotliwą i żmudną. Meteorografy muszą być przed wzlotem sprawdzone w trzech komorach szczelnych, wewnątrz których drogą mechaniczną zmienia się ciśnienie, temperaturę i wilgotność powietrza. Przyrządy pakowane są następnie do lekkiego koszyka i owijane w folję aluminjową o silnym połysku, a to w tym celu, aby od aluminjum odbijały się prominie słoneczne i nie nagrzewały przyrządów w czasie ich pracy. Waga meteorografów bywa różną. Najlżejszy meteorograf, puszczany na maleńkich balonikach, waży zaledwie 43 gramy. Radjosonda, tj. meteorograf wraz z radjostacją nadawczą waży niespełna dwa i pół kilograma.

W Polsce sprawami aerologicznemi zajmuje się Obserwatorjum Aerologiczne w Legjonowie, należące do P. I. M.'u. Przeciętnie dokonuje się tu trzech sondowań tygodniowo. Niestety zbyt szczupły personel naukowy nie pozwala na rozszerzenie jej działalności, choć wymaga tego bezsprzecznie dobro polskiej nauki. Czynny tutaj dział radjometeorologji zajmuje się głównie badaniem rozchodzenia się w atmosferze wyładowań atmosferycznych, zwanych popularnie przez radjosłuchaczy „trzaskami". Dział ten prowadzony jest przez znanego kierownika polskiej ekspedycji polarnej na Wyspę Niedźwiedzią inż. Centkiewicza, oraz inż. Starneckiego.

Jesteśmy w przededniu wielkiego polskiego lotu stratosferycznego, na który — śmiało rzec można — oczekuje cały świat naukowy. Przedsięwzięciu temu możemy życzyć oczywiście tylko powodzenia.

Nie będzie jednak złośliwością, jeśli przypuścimy, iż — kto wie — istotnym zdobywcą stratosfery nie będzie ani prof. Piccard, ani polski balon, lecz skromna, niepozorna radjosonda, która przypięta do niewielkiego baloniku, wzleci kiedyś na wysokość może stu kilometrów i nada stamtąd dziwną, nieprzewidzianą dziś depeszę...

Mgr. Roman Burzyński.

Od dołu ku górze:
W kawiarence w Kielcach... — Miłe odwiedziny na placówce legjonistów... — Nocą na pozycji w okopach pod Łowczówkiem...

Na lewo: Odpoczynek w starym młynie pod Laskami...

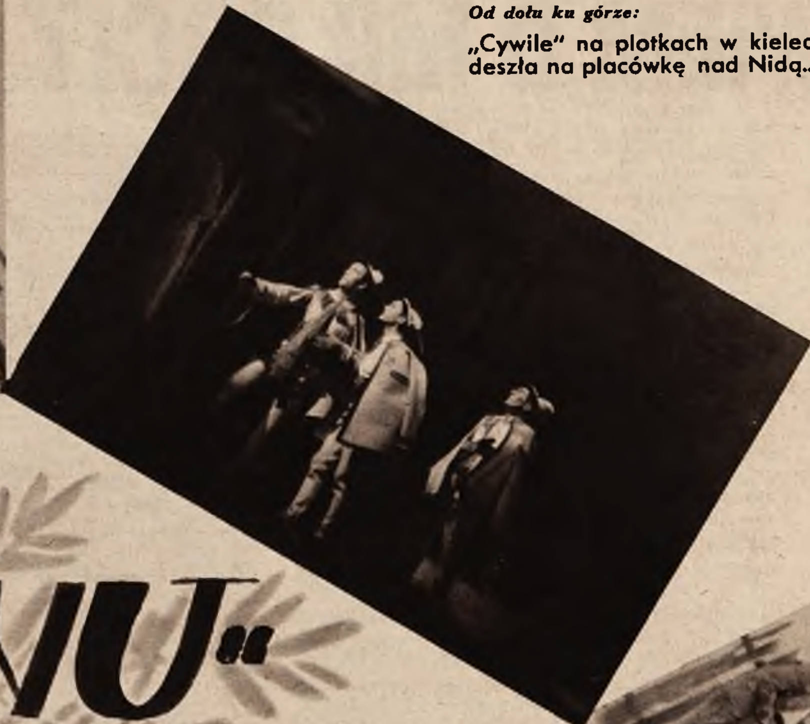
Od dołu ku górze:
„Cywile" na plotkach w kieleckiej kawiarence... — Poczta nareszcie nadeszła na placówkę nad Nidą... — Przybyli aż z pod Tatr do Oleandrów...

Specjalny serwis fotograficzny Magazynu „As"

Wszystkie zdjęcia: Fot. dr. Azet — Kraków











„GAŁĄZKA ROZMARYNU"

ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO







Najpopularniejszem dotąd widowiskiem teatralnem był Władysława Anczyca „Kościuszko pod Racławicami". Na nim ci, którzy dziś przynajmniej przekraczają trzydziestkę, uczyli się historji polskiej, doznawali pierwszych wzruszeń artystycznych, roniąc łzy przy przysiędze Kościuszki i opowiadaniu lirnika, bawiąc się szczerze przygodami Lichockiego i Katkowa, przyswajając sobie pewnik, że w służbie dla Ojczyzny wszyscy sobie jesteśmy równi. „Kościuszko pod Racławicami" krzepił serca polskie, młodych i starych.

Ale nadeszły czasy, gdy zwycięskie dni Insurekcji Kościuszkowskiej musiały w naszych sercach ustąpić miejsca nowym triumfalnym dziejom polskiego żołnierza. Nadeszły czasy, gdy znowu wszystkie warstwy społeczeństwa, zjednoczone jedną wolą, wyruszyły z krakowskich Oleandrów w bój o wolność Polski, a szablę Kościuszki ujął w dłonie nowy, wielki Wódz i nią wytyczył granice zmartwychwstałej Rzeczypospolitej. Pokolenie, wzrastające w dniach triumfu, w dniach rodzenia się nowego mitu o polskim żołnierzu i jego Wodzu — nie mogło już z takiem samem uczuciem, jak my dawniej odnosić się do widowiska teatralnego Anczyca. Bliższą — i oczywiście słusznie — była jej i jest, podobnie jak dziś i tym, co przynajmniej trzydziestkę przekraczają, nowa rzeczywistość i ją, ujętą w kształty teatralnego widowiska, — pokazał Zygmunt Nowakowski w najnowszem swem dziele: w „Gałązce rozmarynu". Utwór ten, jak dawniej „Kościuszko pod Racławicami" będzie dziś najpopularniejszem teatralnem widowiskiem.

Świetny pisarz i pełnowartościowy człowiek teatru ujął mit o zmartwychwstającej Ojczyźnie, o dzielnym żołnierzu i zwycięskim Wodzu, — z niebywałym kunsztem: bez fałszywego patosu, szczerze i prosto, a z żarem, sentymentem i legunskim humorem. Przepoił utwór uczuciem, udzielającem się wszystkim widzom. Wyposażył go w majstersztyki efektów, dając w scenicznych losach jednego plutonu skrót dziejowego, jakże demokratycznego pochodu nowej Polski: od Oleandrów do Nieśmiertelności.

Wielki triumf odniosła już „Gałązka rozmarynu" na scenie Teatru Polskiego w Warszawie (w reżyserji A. Węgierki), wkrótce ukaże się na scenach Krakowa i Łodzi, przewędruje niewątpliwie całą Polskę, znajdzie się w teatrach żołnierskich i na scenkach szkolnych. Bo to właśnie jest jej celem: przemówić do wszystkich. A mówić do całego społeczeństwa tak, jak Zygmunt Nowakowski, mało kto umie...

(swb.)

Co wiem o miłości?

19. Lunia Nestor.

Pragnąc dowiedzieć się czegoś ciekawego o miłości na drugiej półkuli naszego globu ziemskiego, by temsamem rozszerzyć ramy naszej ankiety, zwróciłem się z prośbą o wywiad do znanej artystki operetkowej i tancerki, p. Luni Nestor. Artystka ta bowiem spędziła wiele lat w Stanach Zjednoczonych A. P. i jako dziewczyna młoda, o wybitnej urodzie, obdarzona przytem temperamentem i humorem, niewątpliwie zetknęła się z „tematem" naszej ankiety na ziemiach Nowego Świata. Istotnie nie zawiodły mnie nadzieje. Na pytanie: Co wie pani o miłości w Ameryce? — usłyszałem ciekawe opowiadanie:

— Jak wszystko w Ameryce, tak i miłość jest tam ujęta w ścisły szablon, jest standaryzowana jak samochody i wszystkie inne bussinessy. Wszysko toczy się według powszechnie obowiązujących zasad i planu zgóry ułożonego dla wszystkich zakochanych w całych Stanach Zjednoczonych.

— Jakież to zasady? — zapytuję zaciekawiony.

— A więc tak: panienka, gdy dorośnie, szuka sobie towarzyszy wśród młodzieży i miewa takich zwykle pięciu do sześciu (taki towarzysz nazywa się „boy friend"). Chodzi z nimi do kina, uczęszcza na dancingi, grywa w brydża. Stosunek między młodymi jest koleżeński; niemniej zwyczaje pozwalają panience na obdarzanie swych towarzyszy pocałunkiem t. zw. „good buykiss", t. zn. pocałunkiem na pożegnanie.

— Z biegiem czasu, gdy stanie się wiadomem, który z „boy-friend'ów" ile zarabia, jakie ma stanowisko i jakie auto, jeden z nich, najodpowiedniejszy, zostaje mianowany „sweet-heart'em" (czytaj sfit-hart), co odpowiada mniejwięcej pojęciom naszego narzeczonego. Sweet-heart otrzymuje teraz monopol na kino, dancing i brydż, jak również na „sweet heart-kiss", pocałunek narzeczeński...

— To musi być szalenie nudne! — wykrzykuję.

— O tak, zapewne. Ma to jednak i swoje dobre strony, zwłaszcza po ślubie. Uważam, że choć w życiu rodzinnem amerykańskiem mało jest uczucia, a więcej standardu, to w rezultacie stoi ono na wyższym poziomie, niż u nas. Niema tam poświęceń, kompromisów i niepotrzebnych tragedyj. Gdy mąż żonę zdradza, ta bez dwóch zdań opuszcza go. Sąd zasądza jej (też bez dwóch zdań) solidne alimenty i kwestja skończona. Niema więc takich wypadków, niestety u nas bardzo częstych, iż żona „poświęca" się, tolerując zdrady małżonka niby z wielkiej miłości, a w zasadzie dlatego, że poza nim nie widzi swej niezależności. Rozumiemy wszyscy, jak bardzo demoralizują społeczeństwo podobne wypadki. To w Ameryce jest nie do pomyślenia...

— Gdybym był bardzo niedyskretny — mówię — zapytałbym teraz: czy pani kochała się w Ameryce według owych zasad amerykańskich? Ponieważ jednak jestem dyskretny, nie pytam o to.

Artystka śmieje się serdecznie i szczerze odpowiada:

— Ależ chętnie panu odpowiem! Szukałam w Ameryce miłości, ale jej nie znalazłam. My Słowianie lgniemy do czegoś głębszego, do uczucia, które porwie nas całych bez zastrzeżeń, które nas wzruszy i rozczuli...

— No i...?

— No i znalazłam taką miłość dopiero po przyjeździe do Polski. Miłość, dla której nie zawahałam się na zawsze tutaj pozostać, choć tam, w Ameryce nęciły mnie dalsze korzystne propozycje i cały ów wielki, nowy świat, jakim jest Ameryka. Oto — co wiem o miłości... — kończy z uśmiechem sympatyczna artystka.

20. Ferdynand A. Ossendowski.

Jeszcze bardziej „zamorsko", bodajże nawet „egzotycznie" nastawieni zjawiamy się z wizytą u pierwszego polskiego podróżnika i wybitnego przedstawiciela naszej literatury, p. Ferdynanda Antoniego Ossedowskiego. W licznych dziełach podróżniczych tego autora, które czyta się „jednym tchem" z żywem zainteresowaniem, stale spotyka się czytelnik z opisami egzotycznych krajów, ludów i ich życia w najszerszej skali. To też nie wątpimy, iż rozmowa nasza, na temat ankiety „Co wiem o miłości", przeprowadzona z najpopularniejszym — jak Ossendowskiego nazywa akademik Jan Lorentowicz — na świecie pisarzem polskim, autorem słynnej opowieści „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów", dostarczy nam nieporuszanych dotychczas tematów, że wprowadzi nas w kraje, gdzie miłość, życie, śmierć, stanowią jedno, nierozerwalne pojęcie...

Oczywiście nie możemy wielkiemu podróżnikowi narzucać formy odpowiedzi na pytanie ankiety. Liczymy na to, że mimowoli rozmowa skieruje się na wspomniane tematy. To też wywiad mój z p. Ossendowskim zaczynam od bardzo ogólnego pytania, poprostu od tytułu ankiety:

— Co pan wie o miłości?

Trzeba przyznać, iż pytanie, choć krótkie, zawiera w sobie nieograniczoną możliwość odpowiedzi. Szybka, trafna definicja jest niezwykle trudna. A oto w jak ciekawy, oryginalny sposób wybrnął z tej „opresji" F. A. Ossendowski. Usłyszałem słowa:

— Zadaje mi pan pytanie, na które miałbym tyle odpowiedzi, ile jest odcieni miłości, a więc: 2 miljardy pomnożone przez 365x50x24x60x60. Ilu ludzi mieszka na ziemi, i ile jest sekund w ich przeciętnie pięćdziesięcioletniem życiu, tyle jest odcieni i metamorfoz miłości...

— Chciałbym w takim razie zapytać — mówię — o zasadnicze formy miłości?

— To już bardziej precyzuje pytanie.

— Zwłaszcza ineresowałyby mnie typy miłości mniej znane pod naszą szerokością geograficzną... — ryzykuję propozycję.

— Doskonale — odpowiada F. Ossendowski. — Ustalam dwa rodzaje miłości: głęboka i dlatego zawsze dramatyczna miłość, i druga, nieraz silniejsza i efektowniejsza, lecz krótkotrwała; ta może być również dramatyczna, ale może też taką nie być. Więc weźmy te dwa typy na tle egzotycznej przyrody i folkloru. Pisałem coś niecoś na te tematy... Poszukam więc innych przykładów... No, choćby takie:

W Anhui widziałem młodą Chinkę, rozpaczającą zpowodu ścięcia jej męża, oskarżonego o bandytyzm. Z trudem udało mi się dowiedzieć od niej, co ją najbardziej doprowadza do rozpaczy — strasznej, obłędnej niemal. Odpowiedziała złamanym głosem: „On wziął moją duszę i serce, a teraz jego niema i pozostałam bez duszy i bez serca. Jakżesz będę teraz żyła?"

— Miłość głęboka i zawsze dramatyczna?

— Zapewne! Chinka tego samego dnia podpaliła swoją chatę trzcinową i zginęła w płomieniach...





— A drugi przykład?

— Drugi, z innego kraju. Z Sudanu, z miasteczka Bobo-Diulasso... Podsłuchałem przypadkowo rozmowę mego tropiciela Konana, z którym niejedną połać dżungli przemierzyłem, ścigając dzikie bawoły i słonie. Rozmowę tę prowadził Konan z rzeczywiście piękną, młodziutką dziewczyną murzyńską. „Dia! — mówił Konan — zbliżamy się do mojej wioski, gdzie mam sześć żon. Rozumiesz, że musimy się rozstać!".

— Kochany mój — odparła — było mi tak dobrze, że całe życie będę już szczęśliwa, myśląc o tobie.

Dokończenie na str. 24



Na lewo: Zamek Sully, który należał do wielkiego ministra Henryka IV, obecnie własność markizy de Mac-Mahon.

W TYCH MURACH
ŻYJE HISTORJA FRANCJI

Byłoby omyłką myśleć, że wszystkie zamki francuskie posiadają rozmiary i bogactwa takich siedzib królewskich, jak Blois, Chambord, Veau le Vicomte, Azay le Rideau, lub Coucy. Francja posiada kilka tysięcy zamków, siedzib niegdyś ufortyfikowanych lub poprostu dużych domów wiejskich, „manoirs“, które jednak po większej części urządzone są wytwornie, nieraz z przepychem, posiadają nowoczesny komfort i wygody. Nie należy jednak sądzić, że cała szlachta francuska, która te zamki stworzyła, była bogata i prowadziła magnacki tryb życia. Oczywiście, że nie było tam tak typowej dla naszych stosunków szlachty zagrodowej, ale również i Francja znała skromne ziemiańskie rodziny, gnieżdżące się nieraz na niewielu hektarach. Z takich to rodzin wyszli nieraz wybitni mężowie stanu i wojskowi.

Bieda szlachty francuskiej była nieraz taka, że np. w okolicach Bauch sama uprawiała ona swe pola, kuzyn zaś kardynała de Fleury, markiz Herkules de Rosset de Rocosel, bawi się w karczmie w towarzystwie miejscowego... kowala! Biedną była szlachta np. prowincji Franche-Comté, a w okolicy Beauce istniało przysłowie: „Gentilhomme de Beauce, Se tient au lit quand on refait ses chausses“, tj. szlachcic z Beauce pozostaje w łóżku, gdy mu naprawiają buty. W prowincji Berry, jak stwierdzają źródła współczesne, trzy czwarte szlachty „umiera z głodu“! Zapewne, że obok tych biednych ziemian byli też potentaci finansowi, mogący sobie pozwolić na zbudowanie wspaniałych siedzib i utrzymania ich w stanie dawnej świetności. Przypomnijmy, że np. p. de Sartines otrzymuje w końcu XVIII w. 2 milj. dzis. franków na zapłacenie swych długów, że ks. d'Aiguillon uzyskuje od króla kwotę 5 milj. dzis. fr. za utratę ministerstwa, w r. 1774, że znowuż hr. de St. Germain pobiera od rządu 400.000 franków dzis. za utratę stanowiska w ministerstwie wojny, a książęta de Polignac rocznie wydobywają ze skarbca aż 7 milj. franków, podczas gdy bardziej szczęśliwi książęta de Noailles aż 20 miljonów franków dzis.! Jak widać z tych kilku szczegółów rozpiętość majątkowa była ogromna: musi mią też być skala wspaniałości i bogactwa zamków.



Zamek Chambord, ostatnio własność ks. Eljasza Bourbon-Parma — według starego sztychu.



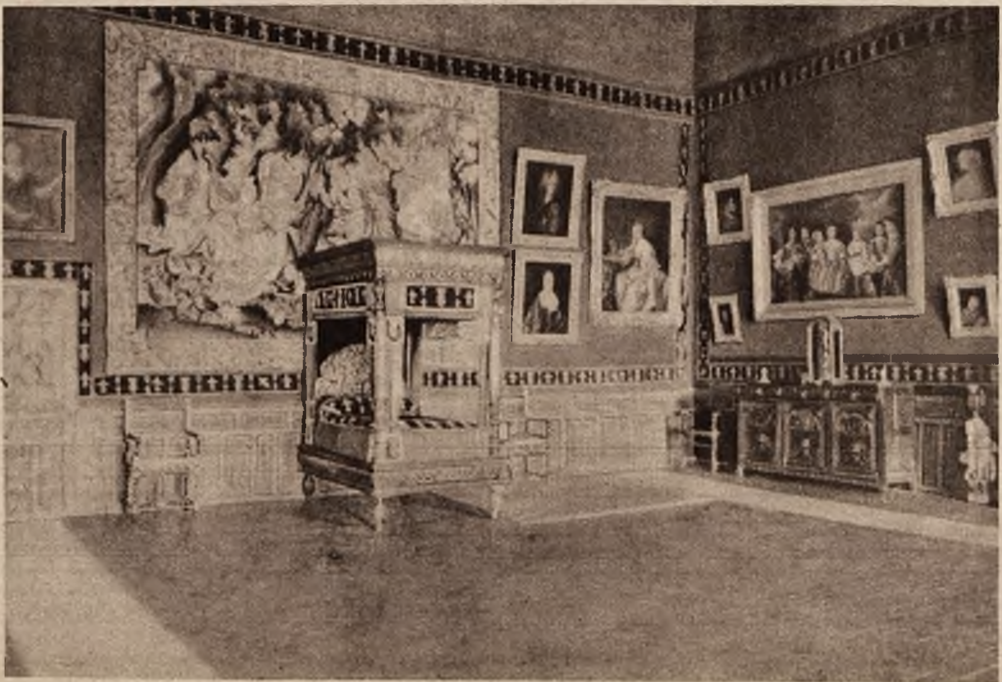
Ciekawym zabytkiem z czasów Ludwika XIII jest zamek Saint-Loup.

By zrozumieć rolę francuskiego zamku, by wczuć się w znaczenie tych starych murów, zwykle fortecznych lub conajmniej zdolnych do obrony w razie potrzeby, należy o tem pamiętać, że Francuzi od posiadanej ziemi brali nazwiska „dodatkowe“, które często wypierały nazwisko rodzinne. Nieraz bracia figurują pod różnemi nazwiskami, zmieniając je jeszcze w razie nadania tytułów, małżeństw i t. d. Te kombinacje nazwiskowe powodują daleko ściślejsze zrośnięcie się rodziny francuskiej z swą ziemią i siedzibą, niż u nas. W ten sposób powstają liczne linje jednej rodziny znane pod różnemi nazwiskami i tytułami, a dbałość o stosunki rodzinne odbija się też na dziedziczeniu majątków, które przechodzą nieraz wraz z nazwiskiem na dalekich krewnych utrzymujących w dalszym ciągu tradycje poprzednich dziedziców.

Mówiąc o konserwatyźmie francuskim, który mimo wszystkie zmiany socjalne zaszłe w ostatnich stupięćdziesięciu latach, skłania bogatych ludzi do szukania właśnie w starych murach najprzyjemniejszego dla siebie otoczenia, wspomnijmy, że dużo zamków pozostało po dziś dzień w rękach pierwotnych właścicieli, tj. że właściciele noszą to samo nazwisko, co zamek. To pozostanie kolebki rodowej w rękach rodziny jest u nas rzeczą nadwyraz rzadką i możnaby takie wypadki wyliczyć nieomal na palcach. Wiemy, że Zamość należy jeszcze do Zamoyskich, Działowo do Działowskich, Niegolewo, jako minorat, do Niegolewskich, Lgota w końcu XIX w. należała do Lgockich h. Jastrzembiec, Komierowo na Pomorzu w posiadaniu jest Komierowskich, a Meyszty Meysztowiczów i Chłapowo Chłapowskich, ale to są wypadki zupełnie sporadyczne, jeżeli chodzi o większe majątki. Tymczasem przejrzyjmy choćby pobieżnie listę wybitniejszych zamków francuskich. Rzuca się nam w oczy identyczność nazwiska właściciela i zamku: Antenroches, Aubigny d'Assy, Baluf, Baye, Bazouges, Reaumont, Belboeuf Beynac, Busset należy do hr. de Bourbon-Busset, Campagne, Kergos, Lordat, słynny zamek Luynes w okręgu Indre-et-Loire należy do szefa domu ks. de Luynes, zamek Nétumières do markiza tegoż nazwiska, zamek Polignac w okręgu Haute-Loire do markiza de Polignac, Seilhac do markiza tegoż nazwiska itd. itd. Wymieniliśmy dużą ilość nazwisk, bynajmniej zresztą nie wszystkie, aby wykazać, jak dalece stare te siedziby utrzymały się w rękach pierwotnych ich właścicieli, co zresztą można również zauważyć w Niemczech, Anglji, Włoszech.

Wszystkie nieomal zamki posiadają w swych dziejach jedną tragiczną, złowrogą datę, od której zaczyna się ich upadek i zniszczenie: rok 1789, uważany przez historyków za początek Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Epoka licznych pożarów zniszczeń, konfiskat ciągnie się przez kilka lat, a przez ten czas liczne zamki przechodzą z rąk dawnych właścicieli na własność narodu, stają się „propriété nationale“ oddaną zresztą w zarząd nieraz dawnym fermjerom lub rewolucjonistom, którzy zaskarbili sobie łaski rządu. Zczasem z zarządców stają się oni właścicielami zamków, a dopiero czasy napoleońskie, a głównie restytucja monarchji bourbońskiej za Ludwika XVIII

Poniżej: Pokój sypialny w zamku Sully.



pozwalają dawnym emigrantom objąć z powrotem w posiadanie swe siedziby. — Wtedy to izby ustawodawcze uchwalają „miljard emigracyjny“ — le milliard des émigrés — mający posłużyć do odszkodowania pozbawionych przez rewolucję właścicieli. Wysoce charakterystycznem dla mentalności francuskiej jest fakt, że mimo rewolucji, mimo tyle politycznych przewrotów urok zamku jako takiego, siedziby wiejskiej o patynie wieków, ozdobionej zabytkami przeszłości, wygodnej, w pięknem otoczeniu, nie stracił nic na swej atrakcyjności. Jak wtedy za czasów „ancien régime'u“ tak i dziś zarówno plutokracja, jak też mężowie stanu, literaci, artyści dążą do stworzenia sobie własnego „home“ właśnie, z predylekcją, w ramach starego zamku mającego swą historyczną przeszłość. Dzisiaj, po parcelacji dużych posiadłości arystokracji francuskiej, zamki te nie są bynajmniej otoczone dużemi dobrami. Wziąwszy do ręki pierwszy lepszy dziennik francuski lub pismo specjalne, wiejskie, jak „Vie à la campagne“, „Fermes et châteaux“ czy inne spotkamy ogłoszenia sprzedaży majątków wielkości kilkudziesięciu, czasem tylko stu lub dwustu hektarów. Gospodarstwo rolne Francji „przewekslowano“ na inne tory: właściciele majątków są równocześnie również akcjonarjuszami fabryk, grają na giełdzie, lub czerpią swe dochody z odsetek kapitałów pracujących za nich w wielkiem gospodarstwie krajowem. Nie są to już rolnicy par excellence, nie są też właścicielami ziemskimi w naszym typie, czy też typie innych krajów. Poza tem każdy taki majątek podzielony jest na kilka, zależnie od obszaru, ferm wydzierżawionych na długie lata fermjerom. Nie będziemu tu poruszać zagadnień wsi francuskiej, powiemy tylko, że zamek stał się raczej pięknem, nieraz nawet historycznem pied-à-terre, niż siedzibą, w której spędza się całe życie. Druga połowa życia owych „châtelains“ należy do Paryża lub najbliższego dużego miasta. Rzecz prosta, że nie można tu generalizować: i we Francji znajdziemy rolników-pionierów, zamiłowanych w swej fermie i zrośniętych na całe życie z odziedziczonym kawałkiem ziemi. Można też powiedzieć, że w ostatnich czasach ten typ ludzi stał się częstszy i bardziej ceniony.

Oczywiście, że kraj o tak starej historji, jak Francja, posiada zamki ze wszystkich nieomal epok i w wszystkich stylach, począwszy od obronnych rycerskich zamków, jak np. Coucy, w okr. Aisne, z olbrzymiemi wieżami, położony na górze, zbudowany pono przez Anguerrand de Coucy w XIII w., obecnie własność państwowa. O byłych panach zamku najlepiej świadczy ich dewiza: „Roi ne suis, Ne prince, ne duc, ni comte aussi, Je suis le sire de Coucy“. Typowym zamkiem obronnym jest również zamek Roquetaillade w okr. Gironde, o olbrzymich, blankowanych murach, lub zamek książąt de Luynes. Ale z chwilę kiedy feudalizm francuski został złamany przez królów, gdy większość szlachty i arystokracji pospieszała na dwór wersalski, aby tam, zdala od swych dóbr, dobijać się znaczenia, zamki obronne służące celom domowej „gerylasówki“, stały się bezużyteczne i poczęto już za Franciszka I, Henryka IV, a następnie za Ludwika XIII i XIV budować zamki, mniej lub więcej obszernego, przypominającego jeszcze nieco swą rozległością dawne zamki, ale poświęcone już jedynie wygodzie, zbytkowi i wystawnemu życiu. — Chociaż tego rodzaju budowle we Francji określane są jako „château“, to jednak raczej nazwaćby je należało, w polskim, pałacem, niż zamkiem. Trudnoby w krótkim szkicu zająć się techniką budowania tych zamków: spotykamy tam zarówno romańskie, gotyckie, renesansowe, jak i barokowe budowle, budowane wedle ówczesnej mody, wymagań, potrzeb i odpowiednio do nich ozdabiane. Oczywiście, że niejeden zamek, pierwotnie obronny, przechodził odpowiednie metamorfozy, stając się wkońcu budowlą otoczoną parkiem, gdzie most zwodzony przekształcono, po wysuszeniu fosy i zasypaniu jej, na fikcyjny ozdobny mostek nad nieistniejącą już wodą. Taką metamorfozę przeszedł zamek Sully, należący niegdyś do ministra Henryka IV Meksymiljana de Béthune, który za walkę z Hugenotami otrzymał od króla dyplom (lettres-patentes) na tytuł księcia de Sully, opartego na dobrach tejże nazwy. Powoli też zamek o spiczastych wieżach, otoczony wodą z jednej strony począł przybierać wygląd wielkopańskiej rezydencji, jakim go dziś widzimy. Wspaniałe gobeliny, stiuki, obrazy, zabytki wszelkiego rodzaju upiększają dziś tę historyczną siedzibę. Z tychże czasów pochodzi słynny zamek, zbudowany na wysepce — Saint-Loup, w okr. Deux-Sèvres lub zamek w Oiron, wzniesiony za Ludwika XIII w stylu renesansu. Nie będziemy przytaczać dalszych nazw i dziejów różnych zamków francuskich, gdyż jest ich zbyt wiele. Zaznaczymy tylko, że





Klasycznym „modelem“ fortyfikacyj średniowiecznych jest zamek Carcassonne

które miały jeszcze pewne cechy powagi dawnych kasztelów, ale otoczone pięknemi parkami były raczej wiejskiemi siedzibami bogatych ludzi. W tym też stylu znajdziemy wiele zamków, zwykle o licznych skrzydłach, z wspaniałą „cour d'honneur“, budowane w czworobok, jak np. Chambord, budowany od r. 1519 przez Franciszka I, albo zamek d'Herbault, zbudowany w tymże mniej więcej czasie, lub zamek Cadillac, którego budowę rozpoczęto koło r. 1598, i wiele, wiele innych. Trzecia wkońcu grupa zamków powstała już w typie pałacu wiejskiego, właśnie w ostatnich czasach wzmógł się silnie prąd restauratorski tych zabytków i zrozumienie dla ich wartości w szerokich sferach. Wspomnieć też należy, że liczne zamki francuskie, przez wygaśnięcie dawnych ich właścicieli, stały się objektem handlu, z czego skorzystali nietylko Amerykanie (przyjaciel ks. Windsoru, Bedeaux jest właścicielem zamku Candé), ale też inne narodowości. W XIX wieku nabył hr. Xawery Branicki słynny zamek Montrésor (Indre-et-Loire) będący gniazdem rodziny wielkiego autora XVI w. Brantôme'a, piszącego się również panem de Bourdeille, de Montrésor et d'Archiac. Obecnie zamek ten pozostał własnością Branickich, a zamek Saint-Elix należy do ks. Lubomirskiej, jak również dwa inne stały się własnością p. Mikulskiego i hr. Potulickiego.

Opisanie choćby tylko fragmentaryczne wspaniałych parków zamkowych, już nie mówiąc o zabytkach znajdujących się w tych starych murach, wymagałoby osobnego artykułu. Przypomnijmy tylko, że mimo wielu przewrotów, bankructw i kryzysu w zamkach francuskich, jeszcze po dziś dzień spotykamy klejnoty sztuki i arcydzieła gustu.

Jan Maleszewski.



„WIELKIE PRANIE" NA RZECE TAJO

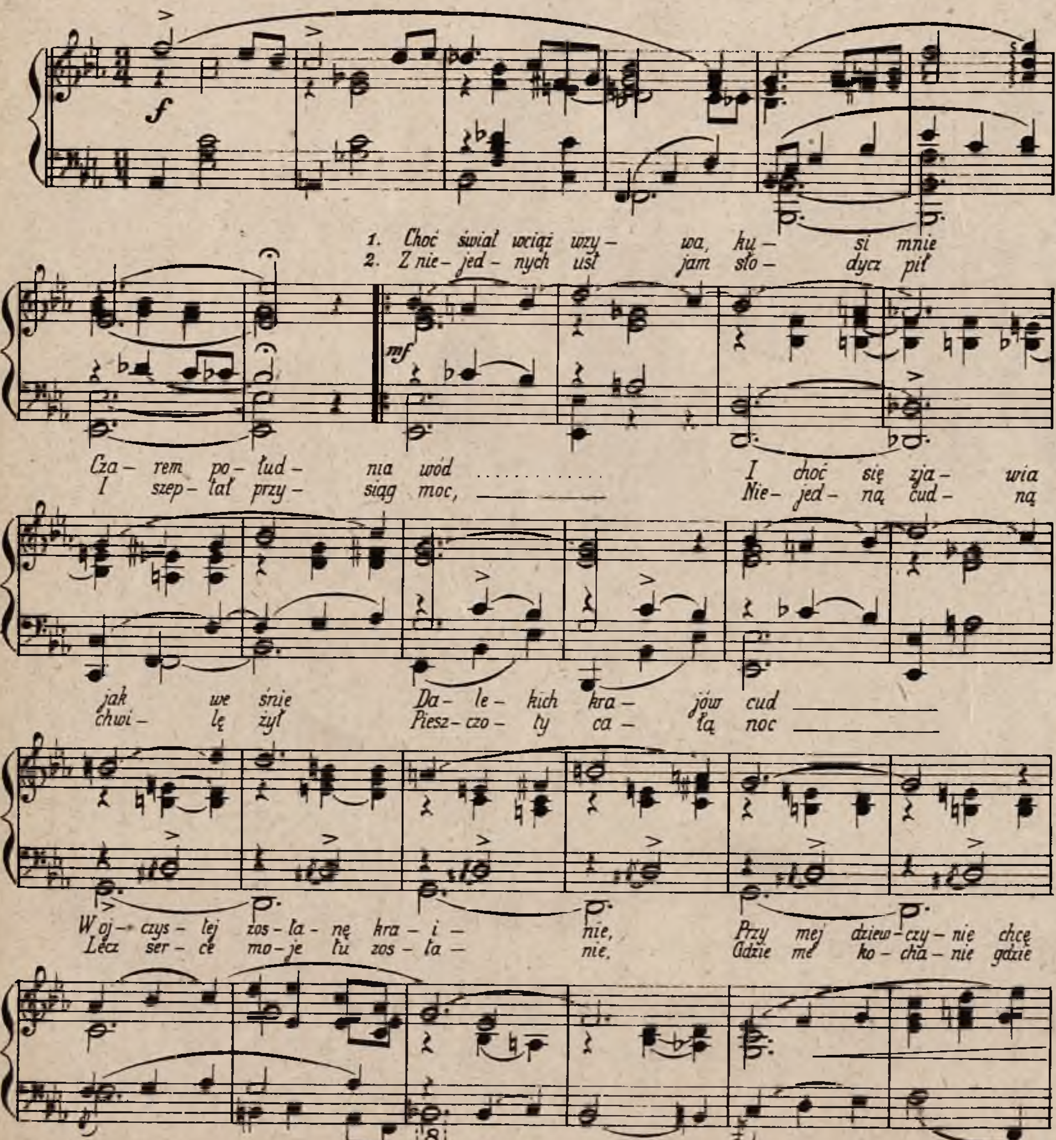
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

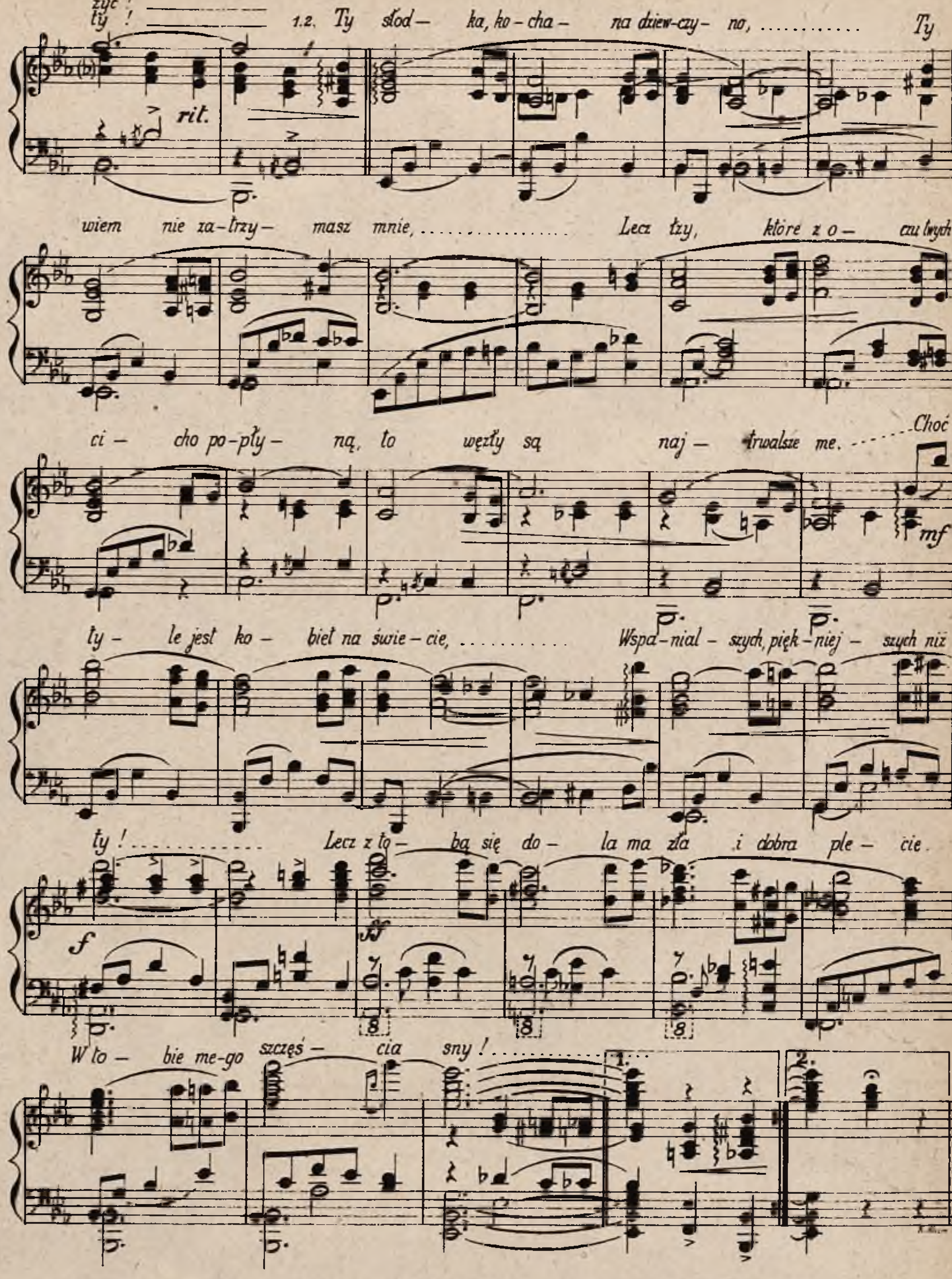
PIOSENKA DLA NIEJ...

WALC ANGIELSKI

SŁOWA:
HALINA ZBIERZCHOWSKA-GADOMSKA

MUZYKA:
PAWEŁ KUCZERA





WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

PRZYJACIEL STOP

ROMAN BACH ŻELEWSKI

NOWELA

Z zainteresowaniem uniósł łeb. W jedynem jego oku zabłysła iskierkami radość, sztywnie dotąd wyprężone uszy położyły się wtył ogon zaczął zamiatać ziemię, niecąc małe obłoczki kurzu. Powstał szybko i ruszył naprzeciw. Silna, zwięzła budowa ciała, długi, posuwisty, jakby przyczajony krok dzikiego zwierzęcia, przywodziły odrazu na myśl jego ojca, prawdziwego wilka. Nie szczekał prawie nigdy, a i to szczekanie miało w sobie coś z wycia.

— Stop! Stare, kochane psisko!

Dźwięk głosu i dotknięcie małej dłoni, położonej na potężnym łbie, wywołały w nim uczucie wielkiego szczęścia. Z krótkiem sapnięciem, będącem tego wyrazem, przytulił siwy już pysk do boku trzynastoletniego chłopca, któremu przydługie kończyny nadawały zabawny wygląd. Był to jedyny jego przyjaciel, ale też lubił go tak, jak to tylko pies potrafi. Ludzie nietylko obcy, dla których gdy się znaleźli w obrębie dworu, był wprost straszny, ale i swoi unikali go, nie czując się pewnie w obecności tego groźnego, ponurego, żyjącego własnem życiem psa. I wśród pobratymców czuł się obco, choć dworskiej gromadzie, w której większość była jego potomstwem, przewodził, utrzymując żelazną dyscyplinę. Każdy zaś obcy napotkany pies padał ofiarą jego dzikiego instynktu, potężnych szczęk i do perfekcji doprowadzonej sztuki walczenia. Owa niemożność zżycia się wypływała ze zbyt silnie jeszcze odzywającej się krwi jego ojca. I oto przełamać tę pierwotną naturę, wydobyć najaw drzemiące w nim głęboko, a po psich przodkach odziedziczone dażności do przywiązania się, do bliskiego współżycia z człowiekiem potrafił ten chłopczyk, który z właściwą dzieciom odwagą niezdającą sobie sprawy z niebezpieczeństwa, odniósł się do niego odrazu z niezanającą sprzeciwu serdecznością. Zdumiony tą śmiałością pies nie bronił tak obcych mu dotąd pieszczot, ale też niemi się nie odwzajemniał. Dopiero po kilku dniach spostrzegł że się z nim coś dzieje dziwnego. Zaczął tęsknić za pełnym sympatji głosem małego człowieka, za łagodnem głaskaniem i zorjentowawszy się w trybie jego życia, począł przychodzić pod drzwi dworu, gdy ten miał iść na spacer. Początkowo udawał przed samym sobą i przyjacielem, że spotkania te są zupełnie przypadkowe, wkrótce jednak zaprzestał udawania i z nietajoną niecierpliwością oczekiwał ukazania się chłopca, któreko twarz na widok wielkiego czworonoga rozjaśniała się prawdziwą radością

Pies i teraz, gdy uczuł mocne, serdeczne uderzenia po łopatce, nie mógł się powstrzymać, by czułem przytuleniem pyska i kilkakrotnem sapnięciem, nie dać wyrazu przepełniającego go szczęścia.

— No, chodź stary, pobawimy się trochę.

Ruszył za biegnącym w podskokach chłopcem. Wiedział, czego mały przyjaciel od niego chce, poznał już bowiem w ciągu dwóch lat znajomości jego zamiłowania i nauczył się kojarzyć pewne dźwięki z czynnościami, które po nich następują. Wiedział więc, że mają się bawić i domyślał się, o jaki to rodzaj zabawy chłopcu chodziło. Wprawdzie psy w jego wieku dawno już do żartów nie mają ochoty, lecz on uczyniłby wszystko, byle tylko móc być przy chłopcu, słyszeć jego głos i widzieć radość, malującą się na jego twarzy. Pozwolił więc oddalić mu się trochę od siebie, poczem przyspieszył bieg, uważając jednak, by zbyt szybko go nie dogonić. Chłopiec kluczył, zawracał, obiegał drzewa dookoła, wreszcie, gdy tchu mu już brakowało, pies chwycił go lekko zębami za kurtkę. Upadli obaj na trawę, by przytuliwszy się do siebie, wypocząć trochę. Pies, przymknąwszy oko, wchłaniał wprost w siebie szczęście, jakiem go napawała bliskość osoby ludzkiej, która przyjmowała jego uczucie i sama niemi się odwzajemniała. Chciałby tak leżeć, zapominając o całym otaczającym go świecie, prócz jednej tylko świadomości przyjaźni. Lecz chłopiec już wypoczął i wstał.

— Będziesz teraz aportował, Stop!

Podniósł kawałek grubej gałęzi. Pies wiedział, nauczony doświadczeniem, że będzie tylko udawał, iż rzuca, a on skolei, by zrobić mu przyjemność, będzie udawał, że wierzy w prawdziwość rzutu i wykonawszy gwałtowny zwrot w odpowiednim kierunku, po kilku susach zamrze w bezruchu na sztywnych łapach, niby w oczekiwaniu upadku gałęzi, poczem nie doczekawszy się, jakby z prośbą o wytłumaczenie tego niezrozumiałego zdarzenia, zwróci się do chłopca i ujrzawszy gałąź w jego ręku, zacznie w raptownych skokach, z przysiadaniem na tylnych łapach domagać się rzutu głośnem sapaniem. Rzeczywiście, zabawa potoczyła się według tego planu wśród wybuchów radosnego śmiechu i gdy wreszcie chłopiec rzucił kij, pies popędził za nim i natychmiast znalazłszy, przyniósł do stóp przyjaciela, lecz zamiast go oddać, przycisnął łapami do ziemi i pochyliwszy nad nim łeb, straszliwem, gdzieś z głębi piersi wydobywającem warczeniem odpierał zakusy przyjaciela na wydostanie patyka. Gdy wreszcie chłopiec, zmyliwszy ku swej radości czujność psa markowanym atakiem prawej ręki, lewą wyrwał mu kij z pod łap, zabawa rozpoczęła się od początku i trwała, póki zmęczony tem wilczur zamiast udawać, iż raz jeszcze dał się oszukać, przytulił się do nóg towarzysza, dysząc ciężko. Usadowili się więc w cieniu gruszy i chłopiec wydobył z kieszeni zawinięty w papier chleb z wędliną, którym jak codzień podzielił się z psem. Posiliwszy się i wypoczęwszy, ruszyli na spacer. Minęli wieś i znaleźli się wśród szpaleru zbóż, kołyszących się w blaskach rannego słońca pod takt podmuchów lekkiego wietrzyku. Wilk zboczył do przydrożnego rowu i biegł nim chwilę, nie znalazłszy jednak nic ciekawego, zaszył się w żyto. Swym długim pyskiem pruł ścianę źdźbeł, podnosząc wysoko łapy, by się nie zaplątać. Naraz przystanął jak skamieniały i ruszając swemi czarnemi, wilgotnemi nozdrzami, wciągał uważnie powietrze. Wyczuł obecność w pobliżu jakichś ptaków i obudził się w nim instynkt myśliwego. Ruszył w napięciu, niesłychanie powoli i ostrożnie, starając się możliwie najciszej rozsuwać źdźbła. Nie udało mu się to jednak widocznie, bo nagle niedaleko przed nim rozległ się łomot kilku par dużych skrzydeł, rzucił się więc gwałtownie naprzód, ale już nic prócz ciepłego jeszcze leża nie znalazł. Zawiedziony i zły skierował się ku drodze, by zobaczyć, co się dzieje z chłopcem. Przekonawszy się, iż idzie on ciągle drogą, zanurzył się ponownie w zbożu, lecz tym razem nie napotkał już nic, prócz kopca kreciego, ponieważ jednak nie polował na te stworzenia, więc nie zatrzymał się. Chwilę jeszcze szukał i węszył, lecz zorjentowawszy się, że wkrótce gościniec skrzyżuje się z polną drogą, pospieszył w kierunku chłopca, by nie musieć go szukać potem. W chwili, gdy się wynurzył z łanu, towarzysz jego, zbliżający się rzeczywiście do skrzyżowania dróg i on sam spostrzegli nadbiegającego z przeciwległej strony zakurzonego, wychudłego, dużego, czarnego psa. W wilczurze sprężyły się mięśnie w przewidywaniu walki, oko rozżarzyło się żądzą mordu, lecz natychmiast ochłonął z zapału bojowego, gdyż niezawodny instynkt zwierzęcia ostrzegł go, iż ma do czynienia z przeciwnikiem, któremu najdzielniejszy nawet winien się z drogi usunąć — z wściekłym psem. Już zamierzał się cofnąć w dające dobre ukrycie zboże, gdy spostrzegł, że przyjaciel jego bądź nie pojął niebezpieczeństwa, bądź zorjenowawszy się, uległ lękowi, gdyż stał jak przyrośnięty do ziemi na drodze zbliżającego się szybko psa. W zwierzęciu starły się w krótkiej lecz gwałtownej walce instynkt samozachowawczy z miłością do małego przyjaciela. Rozstrzygnięcie zapadło błyskawicznie, uczucie wzięło górę i w chwili gdy pies znajdował się tuż przed chłopcem, wilczur przesadził rów i w dwóch szaleńczych susach runął w milczeniu na przeciwnika całym ciężarem potężnego ciała i mięśni, jak wielki, szary pocisk. Pies, zbity z nóg piersiami, potoczył się wbok w prochu gościńca na kształt czarnej kuli i nim zdołał powstać, na szyi jego zacisnęły się mocne szczęki. Rozpoczęła się walka okrutna, nieustępliwa, w której ścierało się szaleństwo z doświadczeniem, walka, która mogła się zakończyć tylko śmiercią jednego z przeciwników. Czarny pies, charcząc, wił się, usiłując dosięgnąć przeciwnika zębami, powalić na ziemię ciosami łap. Wilczur, świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, w zupełnem milczeniu ściskał mu gardło, uważając, by pies nie mógł unieść głowy, przygniecionej do ziemi. Co chwila tylko zwalniał nieco uścisk szczęk, by zaraz gwałtownym chwytem objąć większą przestrzeń gardła. Roziskrzone jego oko śledziło bacznie każdy ruch łap przeciwnika, by wczas wykonanym uskokiem uniknąć ich uderzeń. W obłoczkach kurzu wzniecanego przez nie, okręcały się wkoło oba psy, czarny, rozciągnięty na drodze, szary nad nim, systematycznie i konsekwentnie go dławiąc. Nagle pies zebrał wszystkie siły i w momencie gdy przeciwnik znowu zwolnił chwyt, gwałtownym, nieoczekiwanym rzutem okręcił się naokoło swej osi i żółte jego kły zamknęły się na łapie wilczura. Ten jednak raz jeszcze głębiej chwycił za gardło, raz jeszcze ścisnął potężnie i szczęki psa się otworzyły, język wysunął, ciało przebiegły silne skurcze, by po chwili zapanował nad niem zupełny bezwład. Wilczur przekonawszy się, że przeciwnik nie żyje, puścił go, otrząsnął się z kurzu i poszukał wzrokiem przyjaciela. Chłopiec, stojąc nad rowem, z przerażeniem spoglądał na rozgrywającą się przed nim okrutną scenę. Pies podszedł do niego i przytulił pysk. Dyszał z wysiłku, lecz nie czuł nic, prócz rozpierającej go radości, iż dał małemu człowiekowi największy dowód przyjaźni. Chłopiec osunął się na kolana, objął go za szyję i przycisnął policzek do zakurzonego łba.

— — — — — — — — — —

Wciśnięty w najciemniejszy kąt drewutni leżał cicho, odwracając oko od rozsłonecznionej plamy okienka. Wychudłe, zapadnięte jego boki przebiegały co chwila gwałtowne skurcze, język wysunięty z pyska walał się w pyle podłogi. Nie jadł już dawno, miski z jedzeniem i wodą, postawione tuż przy zamkniętych drzwiach, były nietknięte. Cierpiał strasznie.

Do skłóconej świadomości psa z trudem dotarł odgłos szlochu, lecz dotarłszy, przełamał pancerz obojętności na wszystko, co się działo poza nim. Uniósł łeb w kierunku okna. Jednak dopiero po chwili pojął, że widzi w niem zapłakaną twarz przyjaciela. Uderzył ogonem i usiłował jak dawniej sapnięciem okazać radość, lecz z gardła wydobył mu się tylko jakiś dziwny charkot. Głowa chłopca zniknęła, w jej miejsce ukazała się głowa furmana Pawła i lufa, tak dobrze mu znanej z polowań na jastrzębie dubeltówki. Wilczur powstał z dziko zjeżonym włosem i złowrogo odsłoniętemi zębami i w tejże samej chwili ujrzał błysk ognia i uczuł gwałtowny cios. Było to ostatnie wrażenie w jego życiu, nie czuł bowiem już swego upadku, nie czuł, jak w chwilę potem obejmują go za szyję ramiona przyjaciela, nie czuł łez spadających na skrwawiony łeb.

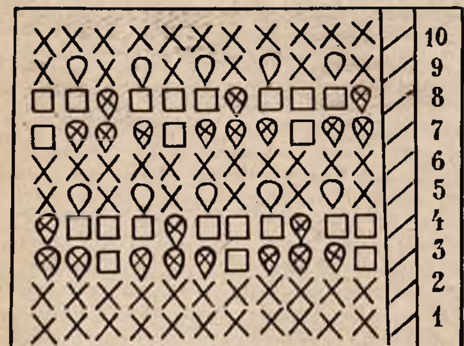
ZROBIĘ TO SAMA

SUKNIE NA DRUTACH

W dniach jesiennej i wczesnej zimowej szarugi kostjum nie będzie już dostateczną ochroną przed dotkliwem zimnem i wilgocią. Przyjemniej nam będzie otulić się eleganckim płaszczem z miękiego przerabianego materjału, przybranym puszystym lisem, albo jeśli wolimy ten styl, możeby wybrać skromny sportowy raglan, z nieprzemakalnego samodziału. Naturalnie uzupełnieniem takiego płaszcza musi być dostosowana do niego suknia. I tu znowu przychodzi nam w pomoc nasza umiejętność robót na drutach, dzięki której niewielkim kosztem, przez gustowne dobranie włóczki i ściegów możemy stworzyć suknię doskonale zgadzającą się z naszem wierzchniem okryciem. Podajemy dzisiaj dwie takie suknie, jedną o charakterze bardziej sportowym z dwubarwnej włóczki, drugą utrzymaną w ciemnym kolorze o skromnej i szlachetnej linji kroju, nadającą się bardziej dla podkreślenia kobiecego charakteru sylwetki.

Suknia na drutach ściegiem tweedowym: Materjał: po 800 g. ciemno-zielonej i beige włóczki „Amaryllis" marki „Trójkąt w Kole". Druty nr. 2, 5. Wykonujemy wszystkie części wg. schematu kroju, który podany jest na 92 cm. obwodu klatki piersiowej. Liczby na kroju oznaczają wymiary w cm. Opis ściegu: Rząd pierwszy nitką koloru beige przerabiamy wszystkie oczka na wywrót. Rząd 3 nitką zieloną: oczko brzegowe przerabiamy je na początku każdego rzędu prawostronnego dwiema nitkami naraz, dalej na przemian, jedno oczko przerobić w prawo, 3 oczka zdjąć. Ostatnie oczko jak wypadnie. Rząd 4 (powrotny) zielony: naprzemian przerobić 3 oczka nawywrót, jedno zdjąć. Zdejmujemy zawsze oczko, które jest środkowem z 3-ch zdjętych w poprzednim rzędzie. Rząd 5 (prawostronny) beige: oczko brzegowe, poczem naprzemian 1-no oczko przerobić w prawo, jedno zdjąć. Rząd 6 (powrotny) beige: cały z oczek lewych. — Rząd 7 zielony (prawostronny): oczko brzegowe, poczem dwa oczka zdjąć i dalej, jak rząd 3. Rząd 8 zielony (powrotny): jak rząd 4-ty. Rząd 9 beige (prawostronny): oczko brzegowe, poczem naprzemian jedno oczko zdjąć, jedno przerobić. Rząd 10 beige (powrotny), jak rząd 6. Teraz powtarzać w dalszym ciągu roboty rzędy od 3-go do 10-go. Zrozumienie tego deseniu ułatwi nam wzór pisany znakami, gdzie X oznacza oczko beige, □ oczko zielone, ♡ oczko zdjęte zielone, ♡ oczko zdjęte beige. Wzór przedstawia wygląd deseniu po prawej stronie roboty. Jak widzimy, wzór ten jest identyczny z wzorem na kostjum, podanym w poprzednim numerze „Asa". Różni się on tylko kolorami i przewagą koloru jasnego w ogólnym efekcie. Zaczynamy robotę od dołu spodnicy, którą wykonujemy w dwóch jednakowych częściach. Po ukończeniu obydwu, rozprasowujemy je przez wilgotne płótno i zeszywamy z boków, pozostawiając na lewym boku 10 cm wolnych na zapięcie. Brzegi zapięcia wykończamy półsłupkami i zaopatrujemy w zatrzaski. Górny brzeg podszywamy gurtem, ściągając go przytem i zapinamy na haftki. Dolny brzeg obrębiamy. Stanik garsonki zaczynamy od dołu przodu i pleców i przerabiamy, dodając nieco u boków. Wycięcia na rękawy wykonujemy ujmowaniem. Na rozcięcie z przodu dzielimy robotę i wykonujemy ramiona oddzielnie. Aby uniknąć uciążliwego liczenia oczek dla osiągnięcia równych wymiarów obydwóch ramion, możemy postąpić w następujący sposób. W połowie przodu przywiązujemy dwa nowe kłębki (beige i zielony) i rzerabiamy następnie przez całą szerokość, używając jednak do każdej połowy roboty osobnych kłębków. W ten sposób robota rozdzieli się sama, musimy tylko uważać, aby ujmować zawsze jednakowo z obu stron. Rękawy zaczynamy od dołu i wykonujemy tym samym ściegiem co resztę. Po zeszyciu wszystkich części i wszyciu rękawów zakła-

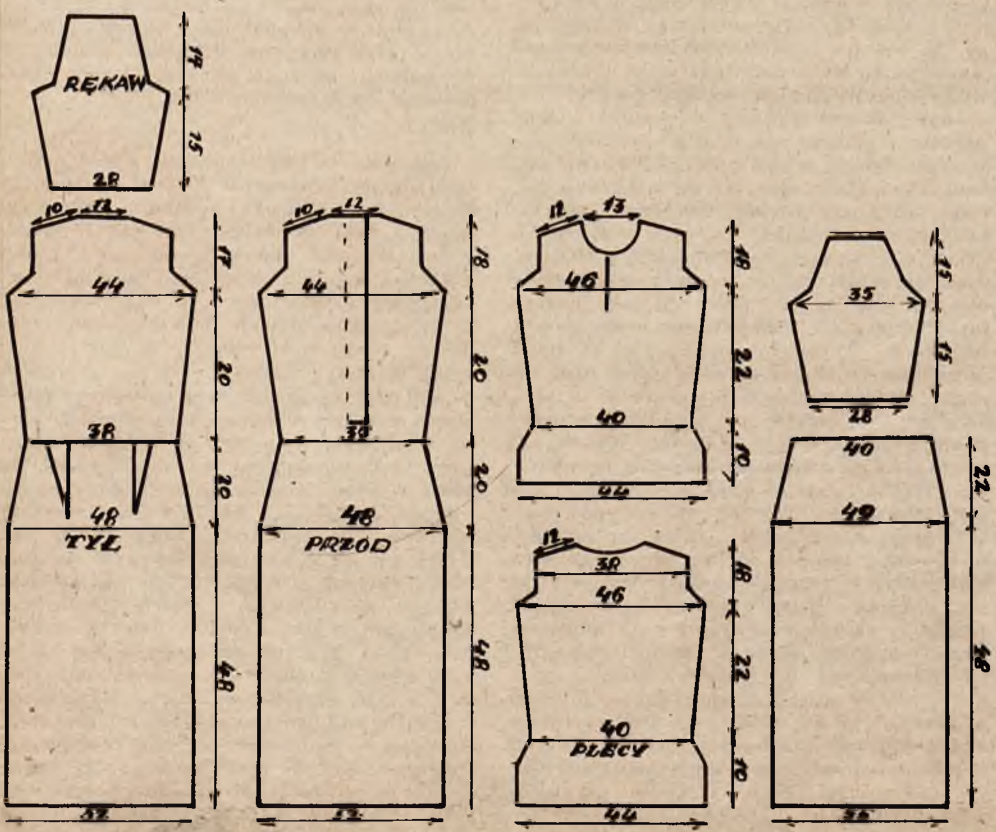




Na lewo: wzór pomocniczy w przerabianiu włóczkowej sukni.

Na prawo: Zimowy kostjum z włóczki w kolorach beige i popielatym, oraz granatowa włóczkowa suknia z chustką w szkocką kratę.

Fot. Imre v. Santho.



CZY ★ PANI PALI?

Czy pani pani? Ależ oczywiście, że tak. To się przyjęło, utarło — to poprostu wypada... Pytdnie to słyszy się już teraz coraz rzadziej, staje się ono wprost anachronizmem. Zato coraz więcej się spotyka niepalących mężczyzn. Zjawisko to bywa bardzo rozmaicie interpretowane. „Mężczyźni są rozsądniejsi i bardziej opanowani od kobiet", pada z ust męskich wyjaśnienie. „Ach, absurd! Poprostu mężczyźni dzisiejsi niewieścieją, wypierani zwolna ze swych stanowisk i praw przez nowoczesną kobietę. Dlatego papieros czy cygaro, jeden z atrybutów męskości, przestaje im odpowiadać" — odpaliła na to przedstawicielka płci, do niedawna, słabszej.

Kto ma rację? Nie będziemy się o to spierać. Ale spróbujmy zastanowić się bez uprzedzeń, dlaczego kobiety palą teraz tak chętnie i to prawie wszystkie.

Nie jest to bynajmniej wynalazek kobiet dzisiejszych. Dawnemi czasy palenie tytoniu przez kobiety nie należało bynajmniej do rzadkości. Wśród kobiet z ludu jest to do dziś często spotykanem zjawiskiem: palą namiętnie cyganki, a wśród starych Hucułek fajka uchodzi za prawdziwy przysmak. Dlaczegóż więc kobieta powojenna stała się powodem tak wielkiego zgorszenia i tyle obudziła zastrzeżeń, gdy po raz pierwszy, z wdziękiem i dezewolturą sięgnęła po papierosa?!

Kilkadziesiąt ostatnich lat XIX stulecia wyparło zwyczaj palenia u kobiet z towarzystwa, gloryfikując kobietę upoetyzowaną i sentymentalną, wątłą i „nieziemską" anielice. Takiemu typowi kobiety palenie istotnie nie odpawiadało. No i ludzie odzwyczaili się, przyjmując bez zastrzeżeń, że papieros, fajka czy cygaro — to przywilej wyłącznie meski, podobnie, jak noszenie spodni, lub strzyżenie włosów.

Dzisiejsza kobieta postanowiła wszystkiego spróbować: papieros bardzo jej smakuje, chodzenie w spodniach na wycieczki czy na nartach uważa za celowe i wygodne, a włosy ostrzygła bez żalu, gdy lustro jej powiedziało, że jej z tem do twarzy.

Jeśli chodzi o palenie, które u większości kobiet przeszło w nałóg, przyznać trzeba jednak, że jest ono dalekie od szablonu. Każda kobieta pali inaczej, tak jak jej to dyktuje jej typ, względnie typ, na którym się wzoruje, jakim chciałaby być. Obserwując palące kobiety, możemy ustalić pewne niezawodne recepty palenia. Inaczej pali podlotek, inaczej kobieta „umężczyźniona", inaczej dama z towarzystwa, inaczej wamp w dwóch odmianach — genre „portowy" i genre „salonowy".



Powyżej: Pierwszy papieros podlotka

Podlotek pali z reguły tylko cudze papierosy, gdyż własnych mu jeszcze posiadać nie wolno. Twierdzi, że zarówno smakuje mu drogi Abdullah, jak groszowy „Płaski" czy „Sport". Nie zaciąga się z reguły (może przez wrodzony instynkt samozachowawczy?), zato wypuszcza z impetem kłęby dymu, wydmuchując go ostentacyjnie, obojętne — nosem czy ustami.

Kobieta „umężczyźniona", ta, która upiera się przy włosach strzyżonych krótko à la garçonne, nosi przeważnie angielskie kostjumy i bluzki z męskim krawatem, gardząc niewieściemi zajęciami i gustami — pali najchętniej papierosy bezustnikowe w zwyczajnej, bezpretensjonalnej cygarniczce, albo i bez niej. Wtedy szczyci się pożółkłemi śladami na palcach, jak również tem, że włosy jej, suknie i rzeczy osobistego użytku przesiąknięte są zapachem dymu. W dyskusji trzyma papierosa bokiem między zębami, nie wyjmując go przy mówieniu. Papieros w jej ręce przybiera prowokujący i wojowniczy charakter.

Dama z towarzystwa pali umiarkowanie i z wdziękiem. Papieros nie smakuje jej specjalnie, ale taki cieniutki, wytworny „Złota Pani" w wymanicurowanych paluszkach, to przecież ładnie wyglądał! Wyjmuje go w stosownym momencie (broń Boże przy jedzeniu!) z małej, ozdobnej papierośnicy, w której mieści się zazwyczaj nie więcej, jak 6. Od czegóż są zresztą mężczyźni? Poczęstują, gdy braknie.

Wamp: „genre portowy", pali à la Jean Harlow, z papierosem przylepionym do warg, otoczony kłębami dumy, z przymrużonem wzgardliwie jednem okiem, z miną na temat: „papieros"?! to dziecinna zabawka — kokaina, morfina... to prawdziwe narkotyki!"

Wamp: „salonowy" à la Marlena Dietrich pali w sposób wyrafinowany... papierosy

Dokończenie na str. 26-ej



Wamp „salonowy".



Hucułka paląca fajkę



Kobieta „umężczyźniona".



Wamp — „genre portowy".

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XXVII.



Ćwiczenie I.

Osoby interesujące się ćwiczeniami gimnastycznemi czy to aktywnie, czy też czytając czasopisma lub przypatrując się pokazom gimnastycznym, wiedzą, na czem polega t. zw. świeca. Jest to ćwiczenie bardzo zdrowe, gdyż wzmacnia muskulaturę brzucha i nóg, uelastycznia kręgi. Nie należy obawiać się, że świeca może narazić na szwank nasz organizm. Świeca wygląda wprawdzie ryzykownie, lecz nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby stała się przyczyną jakiegoś uszkodzenia ciała.

Wiemy, jak to ćwiczenie wygląda i zdajemy sobie z tego sprawę, że nogi muszą być bardzo starannie wyprężone i napięte, a rękoma podpieramy się w biodrach. Najwyżej może nam się z początku przytrafić, że nie mając jeszcze wymaganej zręczności, przewrócimy się na bok, lecz nie jest to bynajmniej niebezpieczne.

Ćwiczenie 1. Kładziemy się na plecach, wyprężonemi nogami zataczamy wahadłowy ruch w ten sposób, że wyrzucamy je sprężyście w górę i sięgamy poza głowę. Następnie wyprężamy nogi prostopadle w górę, przyczem plecy napinamy i uginamy coraz mocniej. I znowu wyrzucamy nogi poza głowę, aby końce palców dotykały podłogi. Wreszcie energicznym ruchem wahadłowym odrzucamy nogi ku przodowi, układając je równo na ziemi.

Ćwiczenie 2. Teraz wykonujemy ćwiczenie, stanowiące przeciwwagę świecy. Przyjmujemy pozycję jak na rycinie i wykonujemy ramionami silny ruch wahadłowy ku przodowi i ku tyłowi, uginając nogi o tyle, aby gimnastyka ramion napięła muskuły całego ciała. Równocześnie staramy się unieść ciało lekkim skokiem. Po tem ćwiczeniu kładziemy się spokojnie na podłodze i wykonujemy gimnastykę oddechową.



Ćwiczenie II.

Obydwa ćwiczenia mają wszechstronne zadanie i korzyść: wzmacniają muskulaturę pleców, brzucha i uda, rozszerzają klatkę piersiową i działają odtłuszczająco.

Dokończenie z str. 18-ej

— Nie myśl o tem i wyjdź zamąż za Tombę — mruknął Konan.

— Wyjdę zamąż, ale będę miała tylko ciebie w pamięci.

— Smutne będzie miała życie mała Dia — zauważyłem nazajutrz, patrząc porozumiewawczo na Konana.

Murzyn uśmiechnął się riumfująco i mruknął:

— Doradziłem jej wyjść za Tombę. Jest to bogaty rolnik i kupiec. Podaruje jej złote branzoletki na ręce i nogi i sznur czerwonych korali. Mała Dia tegoż wieczoru powie mu, że będzie teraz szczęśliwa przez całe życie. Napewno będzie, bo ja, mussu, nic jej nigdy nie podarowałem. Raz tylko oddałem jej cały szpik z kości tego bawoła, którego mussu zastrzelił na L'dango...".

Konan nie przekonał mnie odrazu, ale pomyślałem sobie: może?

...W Warszawie otrzymałem po roku list z wiadomością, że Tomba zabił Konana...

Romit.

—O—

Dokończenie z str. 24-ej

damy w mankiet dolną część rękawa i przymocowujemy prosty kołnierz wysokości 5 cm. Brzegi wycięcia i kołnierza wykończamy zielonemi półsłupkami, wrabiając w prawy brzeg wycięcia trzy pętelki na guziczki. Zapinamy rozcięcia na małe zielone guziczki. Dolny brzeg staniczka obrębiamy. Nosimy garsonkę z szerokim zielonym paskiem.

Skromna sukienka z granatowej włóczki. Sukienkę tę można wykonać z włóczki „Flamingo" albo „Syrena" marki „Trójkąt w Kole". Najładniejsza będzie jednak z włóczki „Luksusowej" tej samej marki. Druty nr. 2.5. Potrzeba około 1000 g włóczki. Przerabiamy następującym ściegiem: rząd pierwszy: prawostronny cały wprost. Rząd 2 powrotny: naprzemian jedno oczko wprost, jedno na wywrót. Rząd 3 cały wprost. Rząd 4 naprzemian jedno oczko na wywrót, jedno wprost. Powtarzamy teraz te cztery rzędy. Wykonujemy suknię wg. schematu kroju podanego na 88 cm. obwodu klatki piersiowej. Zaczynamy robotę od dołu przodu, który wykończamy jednolicie do wysokości 5 cm. powyżej pasa, nadając formę dodawaniem i ujmowaniem z boków. Tu dzielimy robotę w sposób opisany w poprzednim modelu, dzielimy jednak nie w połowie, lecz o cztery oczka bardzie na lewo. Do drugiej części dodajemy w środku nowe cztery oczka, które będą stanowiły spodnią listewkę zapięcia. W prawy brzeg zapięcia wrabiamy 5 dziurek na guziki w odstępach po 6 cm. Na każdą dziurkę zakończamy po cztery oczka i nabieramy w następnym rzędzie w tym samym miejscu tę samą ilość nowych oczek. Następnie przerabiamy równo do wysokości ramienia, gdzie zakończamy wszystkie oczka przodu. Plecy wykonujemy w ten sam sposób, tylko dla nadania lepszego kroju ujmujemy także i wewnątrz roboty wzdłuż linji podanych na kroju. Gdy plecy mają 40 cm szerokości (w pasie) dorabiamy dalej górną część pleców, która dla jasności kroju narysowana jest osobno. Rękawy zaczynamy od dołu i wykonujemy wg. schematu kroju. Gotowe części zeszywamy, przyczem rękawy u góry zakładamy w kontrafałdy. Pasek zaczynamy od dłuższego brzegu i przerabiamy tam i z powrotem stale wprost. Z jednego boku najpierw dodajemy, potem ujmujemy dla dodania szpica. Długość paska wynosi 85 cm. Szerokość 5 cm. Nosimy suknie z odpowiednią szkocką chusteczką. Wszystkie brzegi wykończamy półsłupkami i obrębiamy.

Mieczysława Drozdowska.

—O—

Dokończenie z str. 25-ej

w kolorowych bibułkach, zatknięte w długą, jaknajdłuższą, ozdobną cienką cygarniczkę. Pali z wyrazem łunatyczki, zapatrzonej w dalekie — nieuchwytne wizje. Otacza się dymem, jak tajemniczym kadzidlanym obłokiem, z poza którego wpatruje się w ciebie wzrokiem, pełnym kuszących obietnic... Papieros, to dla niej spotęgowanie jej „sex appealu", to jeden więcej miłosny talizman...

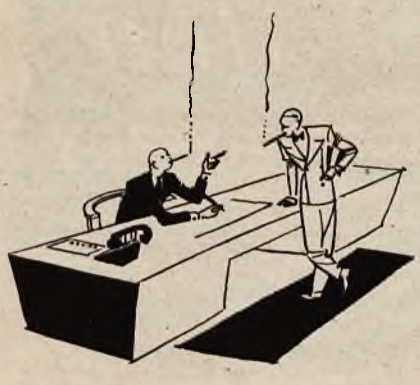
Przeciwnicy kobiet palących, wysuwają chętnie zastrzeżenia natury estetycznej. Nie mają racji. Nieuprzedzony obserwator przyzna, że ładnej kobiecie papieros dodaje wdzięku. A ileż przytem sposobności do otoczenia się mnóstwem ślicznych, misternych drobiazgów, objętych wspólnem mianem „przyborów do palenia"! Ozdobne papierośnice ze srebra, skóry, szyldkretu czy galalitu, cygarniczki z kości słoniowej, perłowej masy czy bursztynu, wytworne zapalniczki najróżniejszych systemów (oczywiście stemplowane!) i tyle innych cacek, których cel użytkowy jest tylko pretekstem do stworzenia czegoś modnego, estetycznego i ozdobnego. A kobiety przepadają za takiemi drobiazgami.

A więc naprzekór wszystkim moralistom nie zanosi się na to, aby piękna pani wyrzec się miała prędko tego dyskretnego a wiernego sprzymierzeńca swego wdzięku, jakim jest — papieros...

E. M.



- Podobnie jak przedtem jednorzędowe, tak dziś i dwurzędowe marynarki pojawiają się coraz częściej w tzw. ubraniach kombinowanych. Warunkiem pozostało wyeliminowanie kamgarnów, których miejsce zajmują wyłącznie szewioty i home-spuny o wyraźnym wzorze sportowym. Fason z nakładanemi kieszeniami.





Czy nosi się nadal ubrania kombinowane?

Tak! teraz nawet z marynarką dwurzędową.



Snobów zawsze jeszcze dosyć znajdziemy na świecie — poco nawet tak daleko szukać — wśród najbliższych znajomych również ich odkryjemy i wówczas przekonamy się, iż irytuje ich naprzykład fakt przyjęcia się wśród t. zw. szerokiej publiczności ubrań kombinowanych, co do których rezerwowali sobie oni prawo wyłączności. Przy narodzinach tej mody każdy z nich podnosił przynajmniej do kwadratu jej zalety, a więc praktyczność, piękno i oryginalność. Obecnie, gdy coraz więcej ludzi „ośmiela się" nosić te kombinacje, wszyscy oni — eleganci z morskiej pianki — wydali zgodny wyrok: Kombinacja się przeżyła i trzeba ją inną kreacją zastąpić!

A więc stosując się do opinji nielicznych snobów, mielibyśmy się wyrzec mody, która bynajmniej nie powstała na to, aby zadowolić gust małej garstki, lecz poprostu dlatego, ponieważ zażądało jej życie wielu mężczyzn? Byłoby to doprawdy absurdem! Zresztą nie obawiajmy się, by kombinacja dała się szybko wyrugować — w każdym razie nie prędzej, dopóki moda nie znajdzie na jej miejsce nowego, równie pięknego i oryginalnego stroju. A z tem nie jest tak łatwo: Norfolk w połączeniu z knickerbockerami nie może nim być, ponieważ to połączenie nie nabędzie nigdy prawa obywatelstwa w mieście, a znowu sportowy garnitur z jednostajnego szewiotu okaże się w niektórych okolicznościach zbyt spokojny i przez to pospolity. Przekona się o tem rychło ten, kto pragnąc stworzyć przez wymyślny dobór stroju dystans pomiędzy sobą a wielu innymi, sprzeniewierza się dziś ubraniom kombinowanym.

Abstrahując od stanowiska snobów, wszyscy dziś chętnie „kombinują", doceniając w pełni praktyczność tej mody. Dopuszcza ona bowiem możliwość noszenia marynarek od różnych garniturów sportowych w połączeniu z „uniwersalnemi" spodniami, np. z ciemno-popielatej flaneli lub podobnego szewiotu bez deseniu i przez to nieraz umożliwia nam nastawienie naszego repertuaru ubraniowego na większą różnorodność, zawsze pożądaną, a w innych warunkach dla niejednego nieosiągalną. Ostatnio zagranica sygnalizuje nową formę kombinacji, do której została dopuszczoną i marynarka dwurzędowa, ale z zastrzeżeniem, że musi ona posiadać charakter sportowy (fason — materjał — deseń). A więc w dalszym ciągu „kombinujmy"!

BRUMMEL.

SZTUKA NOWOCZESNEGO MAQUILLAGE'U

Hollywood nazwano kuźnią piękności kobiecej. Nigdzie bowiem sztuka maquillage'u, niezbędnego do wywołania efektu prawdziwego piękna urody kobiecej, nie stoi na tak wysokim poziomie, jak w tej metropolji filmu, w której laboratorjach kosmetycznych ważą się losy gwiazd podziwianych przez miljony widzów i miljony dolarów, „postawionych" na piękność gwiazdy.

Autorytetem i mistrzem w dziedzinie charakteryzacji i maquillage'u na terenie Hollywoodu jest stary, wytrawny charakteryzator Max Factor, który pracując blisko trzydzieści lat w hollywoodzkich wytwórniach, doprowadził sztukę maquillage'u i charakteryzacji do najwyższego stopnia doskonałości. 96 procent gwiazd filmowych wszystkich wytwórni Hollywood — to klientki Maxa Factora. Niejedna z nich zawdzięcza swą sławę i majątek jego wysokiej sztuce upiększania.

Poza Hollywoodem posiada Factor oddziały i szkoły w 83 krajach na całym świecie. Ostatnio i do Polski zawitał jeden z asystentów sławnego charakteryzatora i w jednym z stołecznych salonów kosmetycznych urządził wobec licznego grona pań z warszawskiego high-life'u i świata artystycznego pokaz racjonalnego maquillage'u.

Charakteryzacja systemem Maxa Factora posiada tę wielką zaletę, że nawet w blasku jupiterów wygląda zupełnie naturalnie, jak zwykły maquillage przy dziennem świetle. Efekt ten wywołuje stosowanie kosmetyków, harmonizujących z sobą pod względem kolorów, użytych indywiduanie do wymagań każdej cery. Nowoczesna kosmetyka ma na celu podkreślanie drogą maquillage'u naturalnego piękna kobiety, a nie szpecenie jej nadmierną małaturą, tak modną do niedawna.

Bardzo często kobiety, nawet piękne, psują efekt swego wyglądu nieodpowiednio dobranemi środkami kosmetycznemi. To puder nie harmonizuje z kolorem różu, to znów pomadka do ust odróżnia się odcieniem czerwieni od policzków. Tej rażącej dysharmonji w doborze kolorów i przejaskrawienia maquillage'u powinna się wystrzegać kobieta zarówno w codziennem życiu, jak i na scenie czy ekranie. Jak się od tego uchronić, co robić, żeby uniknąć tych błędów i jak stosować prawidłowo środki upiększające, zademonostrował właśnie asystent głośnego mistrza charakteryzacji.

Zasadniczą czynnością przed racjonalnym maquillage'em czy też charakteryzacją jest gruntowne oczyszczenie twarzy. Max Factor używa do tego celu specjalnego oleju kosmetycznego, a do wycierania zwyczajnej ligniny. Wata, lubo delikatniejsza, pozostawia na twarzy włókienka, które przeszkadzają w dokładnem rozprowadzeniu szminki, a na ekranie występują w świetle jupiterów, jak silne kreski i zmarszczki. Po umyciu twarzy następuje dobór koloru pudru, różu i pomadki do ust. W wspaniale urządzonem laboratorjum Maxa Factora w Hollywood, które odwiedzają wszystkie najsławniejsze gwiazdy filmowe, poszczególne kabiny wyposażone są w specjalne oświetlenia, imitujące blask słoneczny, światło świec i normalne jupitery, by zależnie od potrzeby, zastosować właściwy maquillage. Pozatem, przykładając specjalną wagę do harmonji kolorów, urządził Factor gabinety dla gwiazd filmowych blondynek takich, jak Carola Lombard, inny gabinet dla brunetek, których przedstawicielką jest Claudette Colbert, oddzielny dla rudowłosych, jak Ginger Rogers i dla szatynek, jak Silvia Sidney. Artystki filmowe, odwiedzające pracownię Maxa Factora, odrazu są wprowadzane do odpowiedniego gabinetu, zaopatrzonego w kosmetyki, dostosowane do koloru ich włosów.

Rozprowadzenie różu na policzkach zależy od budowy twarzy, co najlepiej zademonstruje dołączona tabelka.

Oczy wymagają bardzo starannego „zrobienia". Brwi powinny być oczyszczone z nadmiaru włosów i o ile chodzi o maquillage na codzień, jedynie bardzo dyskretnie zarysowane. Coraz więcej wychodzą z mody golone brwi i rysowane częstokroć aż do przesady na połowie czoła. „Gwiazdy" hollywoodzkie stosują ten zabieg jedynie w charakteryzacji do pewnych ról, zaś w życiu codziennem starają się wyglądać jak najnaturalniej. Nie należy też używać szminki na dolną powiekę, a tylko na górną, nacierając ją lekko niebieską szminką od środka ku skroni. Jedynie bardzo małe oczy wymagają podkreślenia poniżej rzęs



Jak nadać rumieniec twarzy okrągłej?

Odrobinę różu nałożyć na kość policzkową, poczem wcierać ku dołowi w całą wypukłą część policzka. Następnie rozprowadzić róż aż do nasady nosa, co zmniejsza ostrość światła, padającego na twarz, czyniąc ją bardziej owalną.



Jak nadać rumieńce twarzy szczupłej?

Róż nakłada się na kość policzkową i rozprowadza jak najdalej od nosa i środka twarzy. Brak różu na środku twarzy czyni ją zaokrągloną.

Jak malować twarz o zapadniętych policzkach?



Nie należy różować wgłębień na twarzy, gdyż róż podkreśla ich ostrość, lecz rozprowadzić go ku dołowi, dookoła policzka. W ten sposób neutralizuje się cień wgłębienia, a policzki zyskają wygląd bardziej wypełniony.

Jak nakładać róż na twarz o wystających kościach policzkowych?



Twarz o wystających kościach policzkowych powinno się różować bardzo lekko. Róż w tym wypadku powinien przyczynić się do ocienienia zbyt jaskrawego światła na kościach policzkowych i zamaskować tę niedokładność twarzy. Trzeba róż rozprowadzić ku dołowi, unikając starannie miejsc zapadniętych.

Salon kosmetyczny Asa



Na prawo: Asystent Maxa Factora demonstruje zabiegi kosmetyczne w jednym z warszawskich „salonów piękności".

Pamiętać jeszcze należy, że wszystkie preparaty kosmetyczne muszą harmonizować kolorem z indywidualnością cery, w przeciwnym razie stwarzają efekt nienaturalny. Harmonja kolorów jest podstawową zasadą nowoczesnego prawidłowego maquillage'u.

Z. O.





Powyżej od lewej: Janet Gaynor poddaje się próbnej charakteryzacji w salonie Maxa Factora w Hollywood. — Wystawa reklamowa kursów objazdowych Factora.



W kole: I w Tokio metody Factora, demonstrowane przez jego asystentkę, wzbudziły wielkie zainteresowanie wśród skośnookich piękności...

Poniżej: Klasyczny maquillage Niny Grudzińskiej.
Fot. Van Dyck — Warszawa.



dolnej i górnej powieki zapomocą ołówka. Końcem palca należy rozetrzeć ołówek, żeby kreska stała się niewyraźną.

Pudrowanie zaczyna się od dolnej części policzków. Przy pomocy dużego, miękkiego puszka wciera się lekko puder w miejsca dookoła oczu, nosa i podbródka. Nos pudruje się na ostatku, w przeciwnym razie będzie zbyt silnie upudrowany i wyglądać będzie nienaturalnie. Pudru należy nałożyć na twarz dość obficie, a nadmiar usunąć przy pomocy miękkiej szczoteczki lub pędzla, nie omijając wgłębień dokoła oczu, ust i podbródka.

Usta duże stały się bardzo modne, natomiast usta „serduszka" są już anachronizmem. Modna pani maluje swe wargi w całej okazałości na długość i szerokość. A nawet pomaga naturze, jeśli jej pozbawiła tej ozdoby twarzy, zarysowując pomadką modne kontury ust. Pomadka musi być dobrze wtarta palcami. Po umalowaniu górnej wargi należy zamknąć silnie usta, w ten sposób pomadka przenosi się na wargę dolną i usta nabierają symetrycznego kształtu. Jeśli warga dolna jest za wąska, należy linję jej poszerzyć w samym środku. Górną wargę poszerza się po bokach.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA A LA PRINCESSE. (Dla ozdrowieńców). Trzy mleczka (odcięte z mostków cielęcych) zalewa się zimną wodą i stawia na ogniu, kiedy są już bliskie zagotowania odlewa się z nich wodę i przystawia znowu do ognia, zalane zimną wodą. Po rozgrzaniu odcedza się znów, jak wyżej podano. Kiedy mleczka w ten sposób spreparowane są już zupełnie białe, ostudza się je w zimnej wodzie i ściąga z nich błony, następnie dwa mleczka sieka się drobno i dusi przez chwilę z łyżeczką masła, potem dodaje się 2 żółtka surowe a jedno twarde i uciera na gładką masę. Dwie bułeczki kraje się w kostkę, kropi masłem i suszy w piecyku, następnie zalewa litrem dobrego rosołu, rozgotowuje wraz z roztartą masą mleczkową, dodaje szczyptę soli i łyżeczkę siekanej, zielonej pietruszki. Pozostałe mleczko, osobno uduszone, kraje się w drobną kostkę i dodaje do gotowej zupy.

SZPINAK Z RYŻEM ZAPIEKANY. 15 dkg ryżu gotuje się na sypko. Ugotowany miesza się z ósemką śmietany, rozkłuconej z 1—2 jajami. Osobno przygotowuje się w zwykły sposób funt szpinaku, siekać go nie należy, tylko łyżką rozmieszać, z łyżką masła, solą i pieprzem, oraz łyżką tartej bułki. Ryneczkę, wylaną masłem i wysypaną bułeczką, nakłada się warstwami ryżu i szpinakiem, naprzemian, ostatnią warstwę stanowić ma ryż Całość kropi się masłem, posypuje bułeczką, zmieszaną z parmezanem i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka Potrawę tę podaje się jako jarskie danie, lub jako dodatek do kurcząt lub cielęcych kotletów.

PASZTECIKI. 30 dkg ziemniaków gotowanych, pozostałych z poprzedniego dnia (nie świeżo gotowanych), przeciera się przez sito, dodaje 15 dkg mąki, 5 dkg roztopionego masła, dwa małe jaja i troszkę soli, poczem wszystko zagniata się na gładkie ciasto, Z wywałkowanego na grubość pół centimetra ciasta, wykrawuje się szklanką okrągłe placuszki, z których połowę nakłada się jakimś farszem, np. siekaną szynką. duszonemi grzybkami, lub farszem mięsnym, przykrywa drugim placuszkiem i ściska brzegi, aby farsz nie wypłynął, następnie zawija się brzeżki w rulonik lub okrawuje radełkiem, aby to ładnie wyglądało. Posmarowane żółtkiem i posypane tartym parmezanem lub kminkiem piecze się paszteciki w piecyku na suto masłem posmarowanej blasze. Wśród pieczenia nie trzeba zapomnieć skropić ich masłem, z czego nabywają ładnego koloru. Paszteciki te podaje się jako przystawkę. W mniejszym formacie, służyć mogą, jako dodatek do barszczu, zaś podane z jarzynową sałatką stanowić mogą danie dla siebie.

RAGOUT BARANIE PO IRLANDZKU. 75 dkg mięsa baraniego kraje się w grubszą kostkę, zalewa wrzącą wodą, pozostawia w niej przez 5 minut, odcedza i ostudza. W rondlu z wysokiemi brzegami układa się mięso warstwami, przekładając je krajanemi w plasterki surowemi ziemniakami, różną jarzyną, również pokrajaną. Z jarzyn wziąć można: mały seler, 2 pory, małą cebulę, 1 marchew i pietruszkę i małą główkę sparzonej, włoskiej kapusty w ćwiartkach. Wszystko zalewa się wodą do przykrycia, dodaje ząbek roztartego czosnku, soli i pieprzu, nakrywa szczelnie i gotuje przez $1\frac{1}{2}$ godziny, po którym to czasie wszystko powinno być miękkie. Gotować należy, o ile możności, nie odkrywając naczynia. Podaje się na głębokiej salaterce, układając po bokach ćwiartki kapusty. Dodatków do tej potrawy żadnych, prócz chleba, nie podaje się.

SZCZUPAK SZPIKOWANY. Oczyszczonego szczupaka kraje się w grubsze dzwonka, które się szpikuje młodą słoninką, naprzemian z paseczkami sardelek. Dzwonka smaża się na oliwie lub maśle, układa następnie na metalowym półmisku, polewa 1/4 litrem śmietany, rozbitej z łyżką mąki i wstawia do gorącego piecyka na pół godziny, poczem powinna się na rybie utworzyć brązowa skórka. Rybę podaje się z tartemi ziemniaczkami lub pommes frittes.

TORCIK DAKTYLOWY. Z trzech białek ubija się pianę, dosypując po trosze 15 dkg mączki cukrowej. Do gęstej piany dodaje się 15 dkg mielonych orzechów oraz 15 dkg siekanych daktyli. Kwadratową foremkę wykłada się opłatkiem, wlewa masę daktylową i suszy w letnim piecu. Torcik powinien się podnieść do podwójnej wysokości.

TORT Z PIANKĄ. 15 dkg świeżego masła uciera się na pianę, dodaje 4 żółtka naprzemian z 15 dkg cukru pudru, dodawanego po łyżce, wkońcu dosypuje się 15 dkg mąki, zmieszanej z małą łyżeczką proszku do pieczywa. Otarta skórka z połówki cytryny dla aromatu. Ciasto wlewa się do formy tortowej i piecze około trzy kwadranse. W międzyczasie ubija się pianę z 4 białek, dosypując po trosze 10 dkg cukru. Pianą pokrywa się upieczony tort, posypuje suto siekanemi orzechami lub migdałami i wstawia jeszcze na kilka minut do piecyka. Orzechy mogą być również domieszane do piany, wtedy tort posypuje się tylko grubym cukrem kryształowym.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Szczotka, którą widzimy na naszem zdjęciu, należy bezwątpienia do bardzo praktycznych sprzętów domowego gospodarstwa, gdyż znacznie lepiej od każdej innej zbiera kurz z czyszczonych przedmiotów. Dobroć szczotki polega na tem, że jej włos, naelektryzowany zapomocą lekkiego potarcia, wciąga kurz bez rozpraszania go.

Presse-Photo — Berlin.



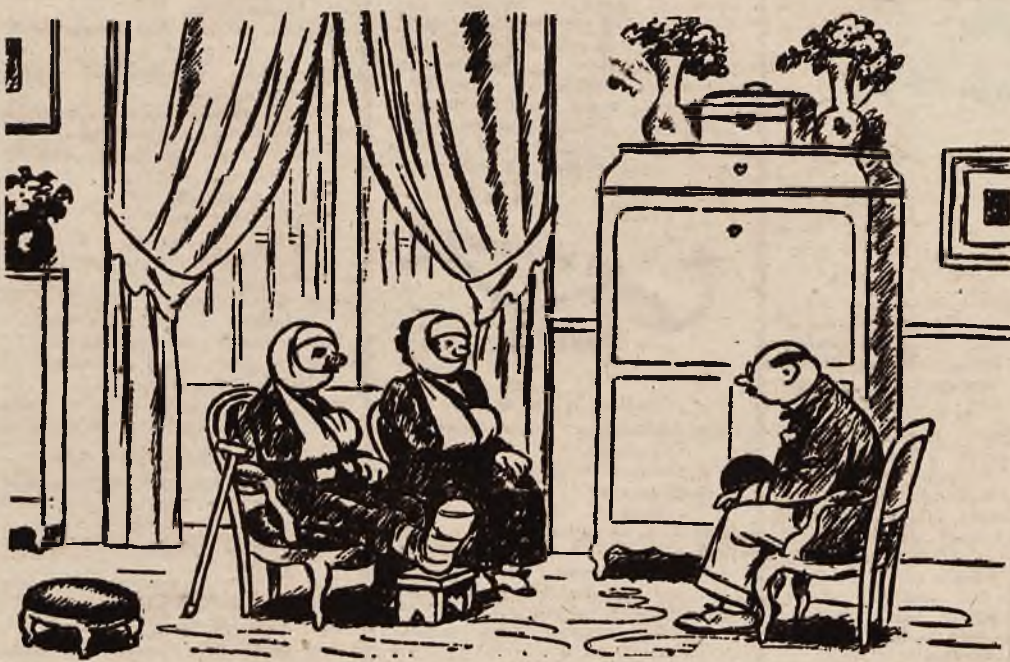
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 49	Listopad — 30 dni
NIEDZIELA **28** Krescentego	Rosół "Julienne" z groszkiem ptysiowym. Paszteciki z farszem mięsnym. Gęś pieczona z duszoną kapustą. Torcik daktylowy. Kolacja: Szyja gęsia nadziewana mięsem na zimno lub klops z sałatą mieszaną.
PONIEDZ. **29** Saturnina	Grochówka na wędzonce. Szpinak z ryżem zapiekany. Rozbratle prędkie z smażonemi ziemniaczkami i ćwikłą lub ogórkiem. Suflet z jabłek. Kolacja: Rizotto z podróbkami z gęsi.
WTOREK **30** Andrzeja ap.	Zupa "gulasz". Wędzonka z grochowem purée. Kotlety wieprzowe z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Kompot z suszonych śliwek. Kolacja: Ragoût z baraniny po irlandzku.
ŚRODA **1** Eligiusza bisk.	**Grudzień** Krupnik na grzybach. Makaron zapiekany z serem. Ozór duszony w sosie naturalnym z ryżem. Omlet z konfiturami. Kolacja: Bulwy i salsefia z masłem.
CZWARTEK **2** Bibjany	Pomidorówka czysta z ryżem. Faszerowana kapusta. Zając w śmietanie z makaronem. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Wątróbki gęsie z kaszką.
PIĄTEK **3** Franciszka Ks	Zupa śmietanowa z koperkiem. Bukiet jarzynowy. Szczupak szpikowany w sosie sardelowym, zapiekany z tartemi ziemniaczkami. Strudel z orzechami. Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie, chleb, masło, sery.
SOBOTA **4** Barbary	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Zrazy siekane z kaszą tatarczaną. Jabłka w szlafroku. Kolacja: Parówki z sosem musztardowym.

HOCKI-KLOCKI

OPTYMIŚCI.



— Pominąwszy ten mały wypadek, odbyliśmy przemiłą podróż! („Ric et Rac").

Rozwiązania z Nru 47-go.

SZKLANKA Z WODĄ.

Należy szklankę przechylić, aby woda sięgała krawędzi. Jeżeli przytem widać choćby trochę dno szklanki, to znaczy, że woda wypełnia mniej, niż jej połowę. Jeśli odwrotnie — dno skryje się pod powierzchnią wody, tzn., że wody jest więcej, niż połowa szklanki. Jeśli nakoniec górny brzeg dna znajdzie się akurat na powierzchni wody, tzn., że wody było pół szklanki. szklanki.

DŁUGOŚĆ SZNURKA.

Długość sznurka wynosi 18¾ cm.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

GWIAZDA.



Rysunek przedstawia chaotyczny zbiór Jeseniowych trójkątów. Niektóre z nich są tak ułożone, że tworzą symetryczną gwiazdę. Proponujemy czytelnikom odnaleźć je i przerysować.

POTWÓR WODNY.

Czterech turystów dało znać policji, że widzieli na brzegu odległego jeziora potwora wodnego. Każdy z nich podał inną przypuszczalną długość potwora: a więc. 39 m, 40 m, 43 m i 44 m.

Przyrodnik, który przybył nad jezioro by zbadać to dziwne stworzenie, stwierdził że dwie oceny długości były mylne o tę samą ilość metrów, podczas gdy dwie pozostałe wykazywały błąd 1 2/3 tej ilości metrów. Jaka jest długość potwora wodnego?

WAZON NA SZAFIE.

Na szafie stoi wazon. Janek mający 190 cm wzrostu z łatwością może dosięgnąć go ręką. Staszek chciałby zdjąć wazon z szafy, ale jest za niski, ma bowiem tylko 160 cm. „Jeżeli Janek ma 190 cm wzrostu i może dosięgnąć wazon, to jeśli ja stanę na stołku o wysokości 30 cm, wówczas będę tego samego wzrostu co Janek i zdejmę bez trudu wazon" — pomyślał Staszek i stanął na odpowiednim stołku.

Mimo to jednak nie mógł zdjąć wazonu z szafy. — Czy czytelnicy mogą wytłumaczyć, dlaczego?

PIĘĆ TRÓJEK.

Posługując się tylko pięcioma trójkami i prostemi znakami działań arytmetycznych można napisać liczbę 100 w następujący sposób:

$$33 \times 3 + 3/3 = 100.$$

Czy można przy pomocy pięciu trójek napisać w podobny sposób 10?

ABONAMENT TRAMWAJOWY.

Pan Kanarek wsiadł do tramwaju i nic nie mówiąc dał konduktorowi 2 zł. Konduktor nic nie pytając wydał panu Kanarkowi bilet abonamentowy na 10 przejazdów. Skąd konduktor wiedział, że pan Kanarek chce kupić abonament, a nie jeden normalny bilet?

BRZOSKWINIE.

Dwóch przekupniów sprzedawało brzoskwinie. Jeden z nich sprzedawał małe, 3 za 1 zł, i sprzedawał codziennie 30 sztuk zarabiając w ten sposób 10 zł. Drugi sprzedawał większe brzoskwinie, 2 za 1 zł, i również sprzedawał 30 każdego dnia, otrzymując za to 15 zł. Pewnego dnia pierwszy przekupień postanowił sprzedać 30 małych i 30 dużych brzoskwiń. Ponieważ małe sprzedawał po 3 za 1 zł, a 2 za 1 zł, uznał, że sprzeda owoce szybciej, sprzedając 5 brzoskwiń za 2 zł.

Istotnie sprzedał tego dnia wszystkie 60 brzoskwiń za 24 zł. Lecz 10 zł + 15 zł = 25 zł. Co się stało z brakującą złotówką?

UŁAMKI.

Z następujących czterech cyfr — 1, 2, 3 i 4 — należy napisać największy możliwy ułamek, wstawiając dwie z nich w licznik, a dwie w mianownik.

ZABAWA DZIECINNA.



Napewno wszyscy czytelnicy znają zabawę dziecinną „w klasy". Rysunek przedstawia narysowane w ogrodzie „klasy". Zosia założyła się z Halinką, że narysuje klasy patykiem linją ciągłą, nie odrywając ani razu patyka od ziemi. Proponujemy czytelnikom zrobić to samo.

PRZYKRE SPOTKANIE.



Żona do męża: — Właśnie upłynęło 10 lat, jak kazałam ci, umierając, przysiąc, że nie przeżyjesz mnie ani o minutę!

(„Ric et Rac").

NA KARUZELI.



— Mam wrażenie, jakbym leciał samolotem.

—A latałeś już nim kiedy?

— Nie, nigdy! („Ric et Rac").

To warto poznać..

NA SCENIE.

WARSZAWA. „Krystjan“ francuskiego pisarza I. Noe'go (Teatr Kameralny), to koleje 50-letniego urzędnika ministerstwa, który urządza sobie raz na miesiąc wycieczki w krainę iluzji: w sekrecie przed żoną spędza czas w luksusowej restauracji, ciesząc się krótkim uśmiechem fortuny. Podczas jednego z takich raidów w nieznane — poznaje młodą Zuzannę, która jego maskaradę bierze na serjo. Krystjan odsłania przed nią prawdę. Ale już za późno. Zuzanna zapragnęła czegoś lepszego od swych dotychczasowych znajomych.

Krystjan wróci do swej szarej egzystencji (boi się nowych rozczarowań), a Zuzanna będzie szukać swego „ideału“, podobnego do Krystjana z owych rzadkich chwil poza życiem powszedniem.

Krystjana zagrał Adwentowicz, jego małżonkę p. Jasińska, pełną wdzięku Zuzanną była p. Bonacka.

Teatr Ateneum wznowił **„Pannę Maliczewską“** Zapolskiej. Tym razem rolę tytułową otrzymała Andrzejewska, mająca świetne warunki do odtworzenia tej postaci. Młoda artystka może nie całkiem sprostała zadaniu, ale miała przejmujące akcenty. Doskonałą sylwetę adwokata Dauma zawdzięczamy Chmielewskiemu, który grał już tę rolę w poprzedniej obsadzie „Panny Maliczewskiej na deskach Ateneum. Pozatem należy wymienić pp.: Perzanowską, Kalinowicza, Poślielowskiego i J. Łuszczewskiego.

Teatr Malickiej sięgnął do młodzieńczego dramatu Słowackiego pt. **„Marja Stuart“**. Najlepsza była Malicka w roli tytułowej, zwłaszcza na pochwałę zasługuje sposób mówienia przez nią wiersza. Inne role wypadły niefortunnie. Sawan w demonicznej roli Bothwela był sztuczny i marjonetkowy. Nie udała się też postać błazna Nicka Ostoi-Suskiemu, który poprzestawał na gierkach. — Ziembiński jako Rizzio i Benda jako Darnley również nie zdołali utrafić w ton właściwy. To samo trzeba powiedzieć o reżyserji Sawana: w rezultacie otrzymaliśmy widowisko, jak się wyraził Boy-Żeleński, które przypominało operę, „ale operę za trzy grosze“. — Interesujące były w swej prostocie dekoracje Kurmana.

ŁÓDŹ. Na scenie Teatru Kameralnego wystawono **„Pigmaliona“** Shawa w reżyserji Aleksandra Węgierki, który też wystąpił w roli Higginsa, bardzo przekonywująco prowadząc słuchacza po labiryntach dialogu. Sukces odniosła również Barbara Ludwiżanka (Eliza). Dobrą figurę ojca Elizy stworzył p. Brochwicz.

POZNAŃ. Teatr Narodowy wystawił graną z powodzeniem w Warszawie komedję Methewsa i Barriego pt. **„Sługa jego lordowskiej mości“**. W roli tytułowej wystąpił gościnnie Józef Węgrzyn. Partnerzy znakomitego aktora starali się o stworzenie godnego tła: bardzo dobrze spisały się panie: Teofila Koronkiewicz i Karolina Sroczyńska oraz panowie: Bystrzyński i Tylicki.

„Człowiek pod mostem“ — tak brzmi tytuł sztuki Otto Indiga (Teatr Polski), wyreżyserowanej przez p. Czengery. Są to dzieje młodego lekarza, któremu dyplom nie pomaga do zdobycia środków do życia. Wspólnie z jakimś włóczęgą lekarz rozpoczyna „życie ułatwione“: włamuje się do willi profesora uniwersytetu, zostaje przyłapany na gorącym uczynku, ale nie wędruje do więzienia, ponieważ profesor, wysłuchawszy nieszczęsnego, przyjmuje go na asystenta. Marjaż z córką profesora będzie szczęśliwym epilogiem „Człowieka z pod mostu“.

Młodym lekarzem był coraz bardziej wybijający się p. Mrożewski. Jego partnerką p. Galińska, włóczęgą — p. St. Jaworski, profesorem p. Noskowski.

TORUŃ. Teatr Ziemi Pomorskiej wystawił sztukę Adlera i Perutza pt. **„Jutro niedziela“**. — W roli głównej wystąpił p. Ścibor, jego partnerką była p. Ściborowa. Sylwetkę wykolejeńca barona Traisinga dał p. A. Radwan-Łodziński. Reyserowała sztukę p. Irena Ładosiówna.

SOSNOWIEC. Z uznaniem podnieść należy wystawienie trudnej do scenicznej realizacji „Róży“ Żeromskiego. Teatr miejski wykazał duży pietyzm dla dzieła znakomitego pisarza. Inscenizacji i reżyserja spoczywała w rękach dyr. Gołaszewskiego. Z wykonawców na plan pierwszy wysunął się p. Leńczewski jako Anzelm.

NOWE KSIĄŻKI.

„OGRÓD DZIKICH ZWIERZĄT“, J. DUHAMELA. Z wielkiego cyklu beletrystycznego Duhamela p. t. „Kronika Rodu Pasquier — otrzymujemy przekład drugiego tomu. Tytuł zawiera aluzję do ogrodu botanicznego, służącego za teren przechadzek dla wielu Paryżan, nie mogących sobie pozwolić na wyjazd za miasto. Ogród ten posiada szczególną atrakcję: zwierzyniec. Przez usta Laurent Pasquier opowiada autor o rodzinie Pasquier w okresie przedwojennym. Duhamel posługuje się stylem prostym a sugestywnym, subtelnie zarysowując przemianę chłopca w młodzieńca, który zaczyna dostrzegać fałsz i obłudę dookoła siebie i ocenia przeżycia swych najbliższych prostodusznie, a bez wyrozumiałości

NA NAJKRÓTSZEJ FALI

Niedziela — dn. 28. XI.

9.00 Transmisja nabożeństwa — z Torunia.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.10 „Gamajda“ — opowiadanie z życia K. O. P.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego potrochu“ — audycja dla dzieci.
16.05 Powieść mówiona.
16.20 „Podwieczorek przy mikrofonie“.
18.05 Recital fortepianowy Z. Drzewieckiego.
18.30 „W hołdzie Stanisławowi Wyspiańskiemu“ — transmisja z kościoła na Skałce.
18.45 Teatr Wyobraźni: „Warszawianka“ — Stanisława Wyspiańskiego.
19.15 „Słynni wirtuozi“ — IV-ta audycja.
21.15 Wesoła audycja ze Lwowa.
22.00 „Opowieść o Mozarcie“ — IV audycja „Figaro“ i „Don Juan“.

Poniedziałek — dn. 29. XI.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztatu: W zakładzie fryzjerskim“.
15.45 „Z pieśnią po kraju“.
16.15 Koncert orkiestry wojskowej.
17.00 „Ksiądz Grzegorz Mendel — znakomity biolog“ — odczyt.
17.15 Zapomniane pieśni w wykonaniu M. Saleckiego.
18.10 Melodje z polskich filmów (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Krakowska i góralska kapela ludowa. Transmisja do Londynu.
20.00 „Wigilja św. Andrzeja“ — obrazek obyczajowy.
21.00 Muzyka taneczna.
21.55 „Sylwetki kompozytorów polskich“.
22.00 Muzyka taneczna.

Wtorek — dn. 30. XI.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
15.45 „Przy kominku“ — audycja dla dzieci.
16.15 Kwartet Schrammla z Krakowa.
17.15 Koncert solistów.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Słuchowisko „Wróżba“.
19.30 Recital śpiewaczy Maurycego Janowskiego.
20.00 Melodje i tańce tatarskie — w wykonaniu oryginalnych zespołów tatarskich.
21.00 „Raz, to mało...“ — koncert.
22.00 Muzyka taneczna.

Środa — dn. 1. XII.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Pieśni Roberta Schumanna (płyty).
15.45 „Chwilka pytań“ — pogadanka.
16.15 Wojskowa orkiestra reprezentacyjna.
17.00 Na morzach Dalekiego Wschodu — odczyt.
17.35 Polska współczesna muzyka kameralna.
17.50 Co podlega zajęciu przez komornika — pogadanka.
18.10 Orkiestra salonowa „The bohemiens“ (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 Pieśni mazurskie.
19.35 „Karola Libelta — O odważnej miłości ojczyzny“ — odczyt.
20.00 Kompozytorzy w roli dyrygentów — koncert z płyt.
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Piękno mowy polskiej“ — kwadrans poezji.
22.00 Koncert popularny w wykonaniu Orkiestry Wileńskiej.

Czwartek — dn. 2. XII.

11.15 Tańce i pieśni śląskie — poranek muzyczny dla młodzieży szkól powszechnych.
11.40 Utwory Pablo Sarasatego — płyty.
15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży.
16.15 Koncert rozrywkowy.
17.00 Twórczość Artura Grottgera — odczyt.
17.15 Arje i pieśni w wykonaniu Stani Zawadzkiej.
18.35 Audycje dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Słuchowisko „Ten człowiek“.
20.00 Wieczór Adama Wrońskiego.
21.45 „Dzisiejszy spirytualizm poetycki“ — szkic literacki.
22.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki. — Transmisja z Warszawskiego Konserwatorjum.

Piątek — dn. 3. XII.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Gra Stanisław Niedzielski — (płyty).
15.45 „Wielki święty i mali ludzie“ — pogawędka Makuszyńskiego dla dzieci.
16.15 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi).
17.15 Koncert solistów.
18.10 Wiązanki wokalne (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Fragm. słuchowiskowy z dramatu W. Bąka „Tyberjusz“.
19.35 Duety — Domra i gitara — (z Wilna).
20.00 Wielki koncert symfoniczny w wykonaniu połączonych orkiestr Polskiego Radja i Filharmonji Warszawskiej.

Sobota — dn. 4. XII.

11.15 Audycja dla szkół
11.40 Wiązanki instrumentalne — płyty.
15.45 Słuchowisko p. t. „Przygody Mikera Zapałki“.
16.15 Koncert solistów.
17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.15 Szwedzkie pieśni ludowe — płyty.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Polska Kapela Ludowa.
21.00 „Życie nie jest romansem“ — parodja powieści dla dorastających panienek.
21.15 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.